

KUŹNICA

Rok 2

Łódź, 31 grudnia

Nr 51 (69)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

PARYŻ W SIERPNIU 1944



Pałac Luksemburski w dniach wyzwolenia Paryża

ilustr. do „Dialogów Paryskich” na str. 5

JAN KOTT

DZIEJE ANNY

I. ANNA

NAZWIJMY ją Anna. Nie jest to historia indywidualna. Równie dobrze nazywać by się mogła Zofia, Irena, Stefania czy Wanda. Ojciec Anny był urzędnikiem, matka lekarką. Anna chodziła do gimnazjum Platerówny, pensji dla panien z dobrego domu. Kiedy wybuchła wojna, Anna miała lat dziewiętnaście. Zdążyła jeszcze przed wojną zdać maturę. Daty w tym opowiadaniu grają swoją rolę. To jest historia rocznika 1920, generacji dwudziestolatków, generacji, z której młodzież inteligentka poszła w znacznej części do A. K. Znaczą tutaj daty. Losy młodzieży inteligentki, starszej o lat dziesięć były o wiele bardziej skomplikowane. Pierwszym wspomnieniem politycznym dla każdego z nas, trzydziestolatków, był zamach Niewiadomskiego lub zamach majowy. Przed wojną zdążyliśmy skończyć studia. Nie byliśmy nigdy pokoleniem apolitycznym. Moja generacja wybierała pomiędzy endecją i sanacją, przeszła w swojej masie przez bojówki ONR-u lub Legion Młodych. Wybiła szyby na Świętokrzyskiej, lub też przechodziła przez wszystkie litery alfabetu sanacyjnych konspiracji i mafii, jakie zakładał Adam Skwarczyński. Przechodziła przez zło wrogi „radikalizm” drobnomieszczański, przez rojenia o polskich straganach lub plany o marszu na Belweder, układanie na Zamku. Tragicznym reprezentantem tego pokolenia był Łobodowski.

Ale nie o nas chcę pisać. Jest to historia innego pokolenia mieszczańskiego, historia Anny, historia tych, którzy w chwili wybuchu wojny nie mieli skończonych lat dwudziestu, którzy weszli w wojnę bez żadnych doświadczeń politycznych. To tylko chciałem podkreślić — różnicę pokoleń. Pokolenie Anny było o wiele łatwiej oszukać. Czy ich od początku oszukiwano? Ci chłopcy i dziewczęta chcieli bić się z Niemcami. Dano im tę możliwość. W roku 1941 Anna wstępuje do Związku Walki Zbrojnej. Zostaje łączniczką.

Nauczając tych chłopców i tę dziewczęta, że wojsko i polityka — to są dwie różne rzeczy. Zgodzili się łatwo. Chcieli wypełniać rozkazy i o nic nie pytać. O co zresztą mogli by pytać? Najinteligentniejszym wystarczał personalizm dla ubogich duchem, jaki szerzył Jądźwing — Suchodolski lub galaretowaty humanizm de Mana... Dla średniego aktywisty wystarczały magiczne słowa: honor, służba i wierność. Jeszcze czasem ideał harcerski, jeszcze piosenka o Natalii, jeszcze „imperi-um, gdy powstanie, to tylko z naszej krwi”.

Wracamy do Anny. Jest odważna, przytomna i obowiązkowa. Wyróżnia się. Zostaje kolporterką w B. I. P-ie, potem kurierką dalekobiezną w Generalnej Gubernii. Dwa razy na tydzień rozwozi prasę, meldunki do Lublina i Krakowa. Kierownictwo zwraca na nią uwagę. Na jesieni 1943 r. zostaje przeniesiona do grupy wywiadowczej „Wschód” przy Komendzie Głównej AK. Praca staje się coraz trudniejsza, coraz bardziej samodzielna. Grupa „Wschód” zbiera wiadomości o ruchach wojsk niemieckich, o stacjonujących oddziałach, o planach operacyjnych. Anna kursuje jako kurier specjalny na trasie Warszawa — Brześć i Warszawa — Mińsk Litewski. Zostaje aresztowana. Ucieka, wraca do roboty. Już jest nie tylko kurierką. Sama zbiera wiadomości. Znowu zostaje aresztowana. Znowu ucieka. Awansuje.

Wojska radzieckie zbliżają się do Bugu. Komenda Główna AK przyjmuje koncepcję walki na dwóch frontach. Rząd londyński wydaje rozkaz wykonania planu „Burza”. Plan ten przewiduje zorganizowanie akcji wojskowej, skierowanej militarnie przeciwko Niemcom, politycznie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Jest to już koncepcja powstania warszawskiego. Ale plan „Burza” sięga głębiej. Obejmuje on częściowe ujawnienie się AK, na terenach, zajętych przez Armię Czerwoną, częściowo zaś konspirowanie dla celów dalszej pracy podziemnej.

Przed samym powstaniem Anna wraz z całą ekipą „Wschód” otrzymuje rozkaz

udania się za Bug w specjalnej misji utrzymywania łączności i pracy wywiadowczej na wypadek odcięcia Warszawy i zatrzymania frontu na Wiśle. Wywiad przeciwko komu? Niemcom? Rosji? Instrukcje są zupełnie jasne. Zbierać wszystkie wiadomości. Ale jeszcze ciągle: wojsko i polityka, dwie różne sprawy. Anna jest żołnierzem, o nic nie pyta, wykonuje rozkazy. Pośród członków ekipy „Wschód” najstarszy ma lat 23. Są to chłopcy i dziewczęta z dobrych domów mieszczańskich, odosobnieni, bez żadnych tradycji lewicowych, w niczym nie związani z młodzieżą polską i robotniczą.

Wojsko Polskie i Armia Czerwona przekracza Bug. W Warszawie powstanie. Ekipa „Wschód” zaczyna pracę wywiadowczą na byłych i obecnych terenach Polski Wschodniej. Grupa „Wschód” zaczyna prowadzić pracę szpiegowską. Dla kogo? Przeciwko komu?

II. WOJNA Z POLSKĄ

Na terenach wyzwolonych obejmuje władzę polska administracja, wyłoniona przez PKWN. Zaczyna się okres lubelski, najbardziej dramatyczny okres odrodzonego Państwa. Nadchodzi czas wyborów dla całego podziemia. W Warszawie dogorywa powstanie, I Dywizja stoi nad Wisłą, w Lublinie organizuje się kadry. PKWN wydaje dekret o reformie rolnej. Rozpoczyna się rewolucja łagodna. Rewolucja jest łagodna, ale wojna nie jest łagodna. Plan „Burza” zostaje wykonany. Część oddziałów AK się ujawnia, reszta schodzi głębiej w podziemie.

Anna zostaje kierowniczką kancelarii grupy „Wschód”. Leśne oddziały mordują delegatów, wykonywujących dekret o reformie rolnej. Zaczyna się akcja sabotażów i dywersji. Okres dywersji AK na tyłach frontu. Odpowiedzią są aresztowania akowców. Polskie podziemie musi wybierać. I Anna wybiera.

W tym samym czasie byłby w oddziale partyzanckim kapitan „Lancy”. Dziwny

„Wybraliśmy własną, polską drogę rozwoju, którą nazwaliśmy drogą demokracji ludowej. Na tej drodze i w tych warunkach dyktatura klasy robotniczej, a tym mniej dyktatura jednej partii nie jest ani konieczna, ani celowa”.

Władysław Gomułka — Wiesław.

TREŚĆ NUMERU:

- JAN KOTT —
DZIEJE ANNY
- JULIAN TUWIM — Wiersze
Z KWIATÓW POLSKICH
- BOLESŁAW DUDZIŃSKI —
O JEDNOŚĆ KLASY ROBOTNICZEJ
- KAZIMIERZ BRANDYS
- PAWEŁ HERTZ —
DIALOGI PARYSKIE
- ANDRZEJ STAWAR —
TADEUSZ ZELEŃSKI-BOY
(orientacje kulturalne)
- TADEUSZ BOROWSKI —
BITWA POD GRUNWALDEM
- RYSZARD MATUSZEWSKI —
W SPRAWIE „KAMPANII WRZEŚNIOWEJ”
- WANDA ŻÓŁKIEWSKA —
KSIĄŻKI BRZECHWY
- WANDA GRODZIŃSKA —
ZWIESCI DLA MŁODZIEŻY
- EWA KORZENIEWSKA —
KOBIECE RELACJE OBOZOWE
- STEFAN OTWINOWSKI —
W KRAKOWIE
- KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK
- PRZEGLĄD PRASY
- KORRESPONDENCJA
- NOTY

szawskim. A oni. Oni byli pełni goryczy, że zapomina się o ich walce z Niemcami, że uważa się ich za wrogów.

Trwała jeszcze wojna, któż miał czas na dociekania psychologiczne. Trzeba było stworzyć aparat państwowy i zebrać kontyngenty i przeprowadzić reformę rolną. To był czas decyzji. Ale tylko niewielu tę decyzję powzięło świadomie.

I to był właśnie cel Komendy Głównej AK., cel planu „Burza”. Zamknąć drogę odwrotu przed najbardziej wypróbowaną częścią Armii Krajowej, postawić tych młodych chłopców i młode dziewczęta w sytuacji przymusowej, wykorzystać logikę walki, wypowiedzieć za nich wojnę ludowej Polsce.

III. DALSZE DZIEJE ANNY

Teraz już tylko fakty. Znamy je wszyscy z tylu procesów. Anna, jak tytu innych, nie zauważyła chwili wyboru. Po przesunięciu się frontu rosyjsko-niemieckiego i zdobyciu Warszawy, grupa „Wschód” nawiązuje kontakt z Komendą AK. Praca konspiracyjna zostaje utrzymana. Gen. Okulicki wydaje rozkaz reorganizacji grupy „Wschód” i dalszego prowadzenia wywiadu na terenach, położonych na wschód od Wisły. Anna zostaje zastępcą szefa grupy. Zbiera wiadomości: polityczne, wojskowe, gospodarcze. Przekazuje je dalej.

Wojna się skończyła. Przychodzi pierwsza amnestia, akcja płk. Radosława, masowe ujawnianie się akowców. Anna zaczyna mieć wątpliwości. Instrukcje z Komendy Głównej są coraz bardziej chaotyczne i sprzeczne ze sobą. Anna coraz częściej słyszy o mordach i napadach rabunkowych, o bandach leśnych i organizowaniu pogromów. Anna uważa, że robi to ciągle NSZ. Anna jest wierna rządowi londyńskiemu.

Tymczasem powstaje „WIN”, który słać chce całe podziemie polskie. Nowa Komenda Główna „WIN-u” żąda prowadzenia dalej wywiadu wojskowego. Anna odmawia. Przeszła już „szkołę apolityczności”. Czuje się odpowiedzialna za swoich ludzi. Anna ma dwadzieścia cztery lata i za sobą pięć lat konspiracji. Chce tym razem wiedzieć. Chce wiedzieć, czy „rząd londyński” bierze odpowiedzialność za „WIN”. Chce wiedzieć dlaczego należy prowadzić w Polsce wywiad wojskowy?

Anna wyjeżdża nielegalnie za granicę. Tam orientuje się, że władze londyńskie są w stanie rozbicia i zupełnej dezorientacji politycznej. Że są to starsi panowie, do niczego niezdolni. Anna jeszcze wierzy w Andersa.

Dalsze dzieje Anny nie są ciekawe. Znamy je z dziesiątków procesów. Anna wraca do kraju. Zostaje kierowniczką samodzielnej grupy szpiegowskiej. Przesyła materiały wywiadowcze przez specjalnych kurierów. Utrzymuje stałą łączność z Włochami. Dostaje pieniądze. Ma pod sobą pięćdziesięciu ludzi. Co to za ludzie? Zawodowi szpiegowie? Dwójkarze? Nie! To dwudziestoparoletnia młodzież z AK., która ma za sobą wojskową przeszłość okupacyjną. Są to młodzi chłopcy i młode

dziewczęta. Ale to nie jest zabawa. Materiały, które Anna wysyła zagranicę, dotyczą organizacji władz wojskowych i cywilnych, planów gospodarczych, umów handlowych, danych statystycznych. Przed dwoma laty Anna, sama o tym nie wiedząc, zaczęła wojnę z polską demokracją. Po dwóch latach jest szpiegiem angielskim. Ale z tego również jeszcze nie zdaje sobie sprawy.

Anna wierzy, że wokół generała Andersa skupił się najbardziej patriotyczny, najuczciwszy element emigracyjny Polski.

Anna wierzy, że gen. Anders nie ma nic wspólnego z bandami dywersyjnymi i morderstwami działaczy w kraju. Anna wierzy, że wiadomości, które wysyła, przejdą przez polski filtr, że są przeznaczone dla Polaków, że nie zostaną przekazane dalej.

Anna nie uważa się za faszystkę. Anna odrzuca możliwość jakiegokolwiek współpracy z NSZ-em.

Anna pracuje ideowo. Kiedy nie przychodzi pieniądze, Anna głoduje i głoduje znaczna część jej podkomendnych.

Dalszą historię Anny również znamy wszyscy z procesów. Zostaje aresztowana. Przyznaje się do winy. Wydaje wszystkich swoich współpracowników. Stwierdza na publicznej rozprawie, że żałuje swoich czynów, że praca konspiracyjna jest w obecnych warunkach zbrodnią wobec narodu polskiego. Stwierdza, że ją oszukali, że zmarnowali nie tylko jej życie, ale coś znacznie bardziej cennego — trzy lata pięknej i słusznej walki z Niemcami. Anna prosi o łagodny wymiar kary, o prawo powrotu do życia społecznego.

IV. PODZIEMIE 46.

Są to dzieje Anny. Ale są to również dzieje Krystyny i Piotra, Marii i Józefa, Wandy i Aleksandra. Są to dzieje tej grupy młodzieży, która, wywodząc się z wojskowo-politycznego środowiska AK, została w podziemiu jeszcze w r. 1946.

Anna sypała, przyznała się do winy, żałowała. Tak samo przyznawali się do winy, sypali i żałowali Krystyna i Piotr, Maria i Józef, Wanda i Aleksander. Każdy nowy proces polityczny staje się nowym dowodem moralnej klęski polskiego podziemia. To podziemie nie ma bohaterów. Ma tylko zbrodniarzy lub tragicznie oszukaną młodzież. Dlaczego?

Słusznie mówiono przed wojną, że więzienie jest szkołą komunisty. Młody chłopak złapany z bibułą lub na masowce wychodził po paru latach z więzienia jako twardy, wypróbowany i doświadczony działacz robotniczy. Bywały wypadki załamania się w czasie okupacji. Zdarzało się, że nie wytrzymywano bicia i tortur, wydawano nazwiska towarzyszy, podawano adres lokali. Ale nikt nie żałował, nikt nie rezygnował z walki, nikt nie twierdził, że oszukali go jego własni przywódcy.

Czym wytłumaczyć zachowanie się Anny na rozprawie, zachowanie się na procesach tych wszystkich młodych chłopców i młodych dziewcząt?

Od wielu miesięcy, żyła Anna całkowicie izolowana od polskiego społeczeństwa. W czasie wojny konspiracja była ruchem masowym, związanym jak najściślej ze

społeczeństwem. Obecne podziemie odcięte jest od mas. Takie jest zresztą prawo socjologiczne, takie są techniczne rygory pracy w konspiracji, która przegrywa, która rozkłada się, która gnije. Ten proces przymusowego samotnictwa i izolacji przeżywał dopiero aresztowanie. Anna powie działa na rozprawie, że dopiero w więzieniu dowiedziała się prawdy o sobie i o polskiej rzeczywistości. Anna i ci młodzi chłopcy nie kłamią. Anna zrozumiała w więzieniu, że walka, jaką toczyła, była nie tylko beznadziejna, była co więcej — nie-słuszna.

Ci młodzi chłopcy wiele się dowiedzieli podczas śledztwa. Zobaczyli na własne oczy, że materiały wywiadowcze, jakie przesyłali do sztabu gen. Andersa trafiają bezpośrednio do rąk *Intelligence* i *Secret Service*’u. Żaden z nich nie chciał być szpiegiem, choćby zaprzysiężonego z nami, ale obcego państwa.

Anna i ci młodzi chłopcy, myślę tutaj o byłych akowcach, o grupie ideowej, wierzyli, że istnieje u nas niezależne demokratyczne podziemie. Przekonali się podczas śledztwa, że podziemie w Polsce jest tylko jedno. Zobaczyli jak ściśle związki łączą dywersyjne grupy WIN-u, czy organizacji „NIE” z bandami ukraińskimi UPA, jak ogniwa wywiadu Andersa przepływają z wywiadem angielskim, jak członkowie splamionej kollaboracją NSZ-etowskiej brygady Świętokrzyskiej są głównymi łącznikami Londynu z krajem.

Anna i ci młodzi chłopcy wierzyli, że konspiracja zachować może uczciwe metody działania. Przekonali się, że ich własni koledzy i podkomendni rabowali i mordowali. Anna zobaczyła dopiero w więzieniu całe bagno obecnego podziemia. Każdy ruch konspiracyjny dojrzewa do walki zbrojnej lub wyrodnieje w bandytyzm. W czasie okupacji niemieckiej ruch niepodległościowy we wszystkich krajach przechodził stopniowo od zamachów i dywersji, od eksploatacji i sabotażu, do organizowania kadr wojskowych, do masowej partyzantki, do ludowego powstania.

Terazniejsze podziemie dawno przestało być ruchem masowym. Od dywersji i sabotażu przeszło do zwykłego bandytyzmu, do strzelania z za węgla w żołnierzy i dołowych działaczy ludowych, do mordowania żydów po małych miasteczkach, do napadów rabunkowych na kasy, do wysługiwania się obcym wywiadowi. Ten proces jest nieodwracalny i nieuchronny.

V. DYGRESJA O CONRADZIE

Pisałem kiedyś, że Conrad był ulubionym pisarzem młodzieży akowskiej, że istniały głębokie pokrewieństwa i powinowactwa pomiędzy atmosferą ideową, jaką żył, a wewnętrznym światem duchowym Lorda Jima, Heysta, Leny i kapitana Lingarda. Atakowałem moralność conradowską, mit honoru i mit wierności samemu sobie. Próbowalem za tymi pojęciami pokazać wielkich armatorów tego świata, którzy kierują rejsami okrętów i losami ludzi. Pisałem o „Ocaleniu”, o „Nostromo”. Nie wspominałem o „Tajnym Agencie” i o powieści „W oczach Zachodu”. To by-

łoby zbyt łatwe na podstawie tych dwóch książek oskarżać Conrada. I ci, którzy bronili conradowskiego pojęcia wierności, również o tych książkach zapomnieli.

Lingard i Heyst, Lena i Jim są samotni. Ale nie są wewnętrznie samotni bohaterowie „Tajnego agenta” i „W oczach Zachodu”. Oni jedni ze wszystkich postaci conradowskich posłuszni są prawom swego społecznego środowiska.

Conrad w tych dwóch książkach pokazał chciał gnieć ruch rewolucyjny. W rzeczywistości pokazał rozkład złowrogo radykalizmu drobniomieszczańskiego, pokazał „Biesy”. Pokazał prawdziwie.

Jest jakaś surowa logika historii i tragiczna prawda polska, że ci z młodych chłopców z AK, którzy zostali w podziemiu i tak niedawno jeszcze odnajdywali siebie w samotnym bohaterstwie Leny, Jima i Lingarda, dziś mogą odnaleźć swoje portrety tylko w ponurych postaciach „Tajnego agenta” i „W oczach Zachodu”.

V. WNIOSKI

Ich ujawnienie ufam, że się nie spotka z represjami władz, bo nie powinno się spotkać. Lewica polska uznawała zawsze i ceniła motywy osobistej uczciwości. Rząd temu dawał wyraz już parokrotnie, umożliwiając dekonspirację tej części młodzieży, którą tragiczny los pokolenia zapędził do lasu.

Anna i ci młodzi chłopcy popełnili ciężkie przestępstwa. Anna i ci młodzi chłopcy muszą zostać ukarani. Ale nie wolno nam zapomnieć o ich wieku. Należą oni do pokolenia, które weszło jednocześnie w wojnę i w życie, które nie miało za sobą żadnych doświadczeń, które ciężko zapłaciło za swój błąd i zbrodnię przywódców.

Moja generacja była także oszukiwana przez tych samych panów z defenzywy. Ale myśmy przeszli tę szkołę za czasów przedwzrostkowych. I dlatego nam było o wiele łatwiej znaleźć drogę do Obozu Reformy. Tamci byli zupełnie bezbronni i zostali oszukani o wiele bardziej cynicznie i okrutnie.

Ogromna większość akowców z najmłodszego pokolenia odnalazła jednak w końcu słuszną drogę polskiej demokracji. Zostało w podziemiu niewielu. Pamiętajmy jednak, że im później tym trudniej jest wyjść z podziemia. Pamiętajmy, że z tamtej strony zrobiono wszystko, aby im przeciąć drogę odwrotu.

Mam odwagę powiedzieć, że Anna nie jest wyjątkiem. Że istnieją jeszcze liczne grupy ideowe, które zachowały osobistą uczciwość. I są jeszcze w konspiracji ludzie, którzy nie strzelali z za węgla, nie mordowali i nie rabowali. Są to grupy dawnej młodzieży AK. Uważam, że jesteśmy dostatecznie silni, aby przebaczyć, aby raz jeszcze ułatwić im ujawnienie, dać im możliwość powrotu do życia społecznego, który będzie dla nich jednocześnie powrotem do Polski. Sądy o tym muszą pamiętać. Jeśli nawet stu można uratować, to i tak jest to naszym obowiązkiem.

Jan Kott

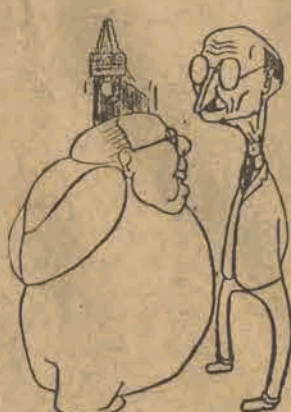
PRZYJAŹŃ ANGIELSKO-GRECKA



A ten otrzymałem za „wybory w Grecji”.



Panie generale, ujęliśmy syndyka kalistę. Co z nim zrobić? rozstrzelać?



Mają podobno sprowadzić wojska Tsaldarisa do Londynu, aby nauczyć rozumu buntowników z Labour Party.



— Edypie odpowiedz mi na pytanie...
— Yes, sir...

JULIAN TUWIM

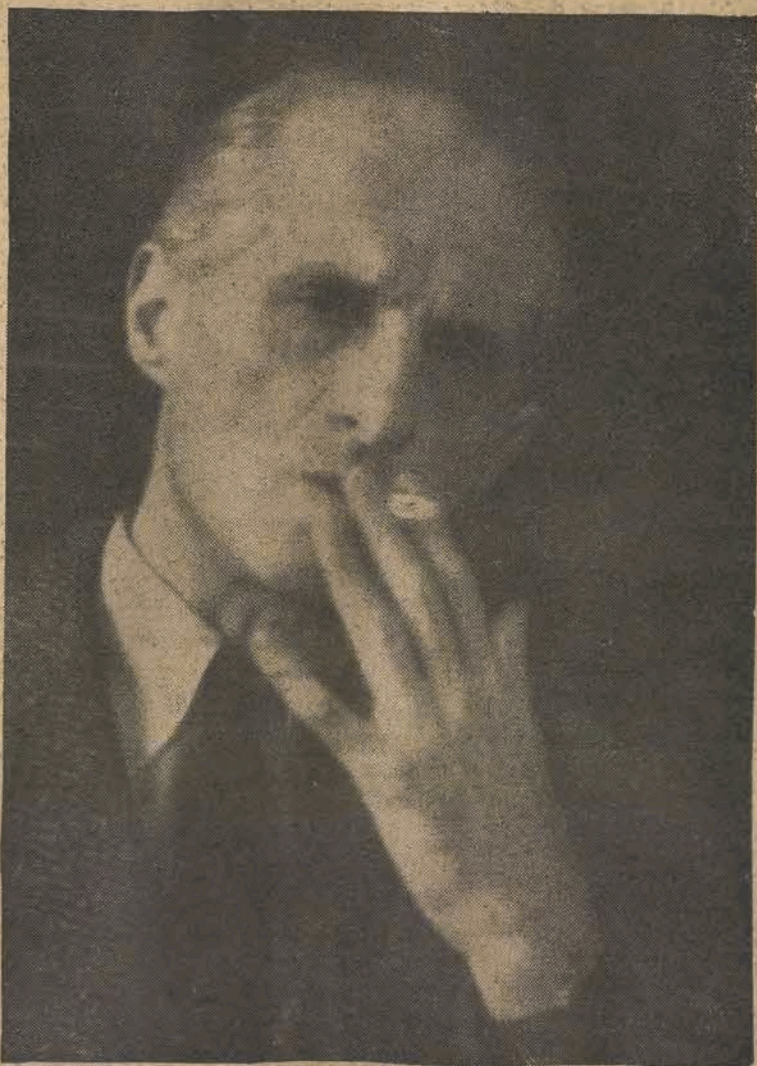
Z KWIATÓW POLSKICH

Gdy się to dzieje, deszcz zaczyna
Szyby plebanji nad Pilicą,
Rozklekotała się mieścina,
Rozchłupotała się mieścina.
Rozsepięła się mieścina
Listopadową chłustawicą.
I znany, smutny rozszepc ciszey
Pluskowi deszczu towarzyszy:
Szmerzące sączy się milczenie,
Czas ciurkiem monotennie ciecie
I świerszcz nakręca niestrudzenie
Mikroskopijny zegareczek.
Wszystko jak echo. Ksiądz Komoda, —
Wsluchany w noc i niepogodę
Jak w muszlę, jeszcze moką, — słyszy
Jakby stłumiony stuk klawiszy
W struny martwego fortepianu;
Szybkie to, sypkie i dalekie
I kłapie pod zamkniętym wiekiem
Młoteczkującą pieśń drewnianą.
Ksiądz znów zagląda do Kuriera
I czyta, jak sto razy przedtem:
„Teatr Alhambra... Dziś premiera...
Nelly de Vera... Taniec szeptem...“
Wpatrzył się w szybę. Tam, jak w lustrze
Stołowej lampy blask się pluszcze,
Rozwidnia kręte dżdżu strumienie,
Rozwadnia ognie złotodrzące
W płynne lizaje i desenie,
Jakbyś przez szkła oddalające
W uciekającą patrzył scenę...

Pod głuchy, tępy werbluk rytmu,
Pod echo słów, płynących zdala,
Tętniąca pieśnią starożytną
Alhambra wspomnień się zapala.

I widzi ksiądz kościółek wiejski
Z trybunem bożym na ambonie
I ręce swoje roztańczone,
Opadające, wzlatujące,
Zalamywane, błagające,
Kiedy w ekstazie kaznodziejskiej
O Polsce mówi. O Niej, o Niej,
Którą w mistyczny obłok spowił
I niebo widzi, gdy ludowi
O zmartwychwstaniu jej obwieszcza,
Bo ją wysłonią odziedziczył
Po fantastycznych naszych wieszczach;
Bo nierozumnie ale święcie
Jak w Boga wierzy w to widziadło
(Cudo-ż bo cudo nam przypało
W owym genialnym testamencie!) —
Więc: gdy w serdecznym uniesieniu,
Płacząc ze szczęścia, myśli o Niej,
Że jest Tęczowa, Chrystusowa,
Ojczyzna Wcielonego Słowa,
„Ty Co Myślisz Boga Nosisz w Łonie
I Losy świata w Swym Zakonie...“
„Kościółce Widomego Czynu
Ucieleśniony w Bożym Synu...“, —
Kiedy w natchnieniu i zapale
Wznosi się ku Niej wywrodzonej,
W Niebieszech Ducha Zawieszanej
Mesjanistycznym epinałem,
I już ma krzyknąć z całej mocy:
„Witaj, Błękita Jeruzalem.“ — —
— Szare, wilgotne, ciepłe oczy
Mrużkiem muskają jego lica.
Przestały. Potem znów. Na dłużej.
Znikło. I znów. I miga, mruży,
Już źrenicami drga w źrenicach...
Tak, czasem, błada błyskawica
Zwiastunką bywa krwawe, burzy.
Zamiera ksiądz. Bo moc niezwykła
To z ziemi w niebo go uwodził
To z nieba ściąga go najśladziej.

(Tu — aproposito — wykład
O przyrodniczym rodowodzie
Tych grzesznych „oczach nad oczami“,
Tej „pieśni nad pieśniami“. Otóż:
Między gwiazdami i kwiatami
Są, jak wiadomo, silne błyski,
Prąd nieprzerwanie promienisty
Wzajemne rozprowadza iskry
Między gwiazdami i kwiatami.



JULIAN TUWIM

I właśnie, kiedy na bankiecie
Botaników i astronomów
Śródgwiezdne omawiano kwiecie,
Śledząc świetlany bieg atomów;
Gdy obłysłano toastami
Nokturny urojonych zjawisk
A Ksiądz - Prezes srebrnorogi,
Wstępując po drabinie, zawisł
Mniej więcej na połowie drogi
Między gwiazdami i kwiatami, —
Wtedy to pewien kwiat przeźroczy
Oczyma stał się... etcetera...
Taka jest moja hipoteza...
Nie będę przy niej się upierał.)

Jak działo ducha zenitowe.
Wyrzuca ksiądz w Błękicie Tam
Pociski modłów, prośb, dziękczynień,
A z nim — siebie i świątynie,
I z całą Polską w niebo płynie
Za raketami rak i zdań;
Ale raz po raz z drogi zboczy,
Gdy nieodstępnie patrzy nań
Zmrużone, ćmące, mądre oczy.
Tropią go, drwiące, prześladowcze,
Kuszą, tumanne, obietnicze,
Ścigają każde jego słowo,
Myśli czeplają się zmysłowe,
Chciałby oslepić je, przekrzyczeć,
A one w grzaską topiel ciągną,
Pokusą wabią go nierządną,
Ach, nie przekrzyczy, nie oslepi!
I coraz częściej a ciekawiej
Szuka ich, łowi, wzrok w nich pawi...
A one: pajak aksamiłny,
Omotujący go kokonem...
Ratuj mnie, ratuj, śnie błękitny!
Ratuj, mocarstwo objawione!
Utrąć te oczy. zgaś! A one:
Dwie śmy nadciągającej nocy,
Miętko skrzydłami łopocące,
Szept jakiś wzięły do pomocy,
Szept — echo pieśni starożytnej...
I oto do psalmodji szczytnej,
Do niebosiężnych wzlotów księdza
Zmijkami przebiegłymi wpelza
Pieśń Najprzedniejsza, pieśń orężna:

A oręż jej — nie zbrojne armie
Z rozwiniętymi chorągwiami,
Lecz pierś jak bliźnięta sarnie
Pasące się między iljami!
Lecz wino gęste i gorące
Zdobychczych warg, gdy krwią spływają,
Wino, cudownie sprawujące,
Że usta śpiących przemawiają!
Lecz żadnych nozdrzy wonność, świeża
Jak jabłek miazga rozgryziona!
I biode i ramion wzniosła wieża,
Rozwierająca się naścieżaj
Rozkoszom króla Salomona!
I słyszy ksiądz, choć nikt nie słyszy,
Wysoki śpiew wśród trwożnej ciszy:
„Źródła ogrodne, żywe źródła
Już się z Libanu gór wybiły,
Wniłd między wonne drzewa, miły,
Rozkoszne jedz owoce moje!“

Wiatleje głos bożego sługi
I słabną ręce wojujące,
Ksiądz jaka się, wyrazy płacze...
Już Tutivillus, księży bledów
I przejęczyń kolekcjoner,
Co na kazanach jest z urzędu,
Zagarnia słowa zniekształcone,
Poprzepuszczane, przekręcone:
To dar dla Biesa Jegomości,
Co niemi salon w piekle mości...
Krzusi się ksiądz, nabrzmiewa pąsem,
Cały w jej oczach, w grzesznej gęźbie.
Ostatnie słowo w krtani więźnie
Jak czasem jabłka ostry kasek.
Ksiądz zachłystuje się, belkoce,
A głos rozkazy słodkie śpiewa:
„Wejdz, miły, między wonne drzewa,
Rozkoszne ze mnie rwił owoce!“
Jeszcze resztkami sił się zrywa,
Odsiecz archanielskiej wzywa,
Parafian wreszcie wzrokiem błaga — —
Napróżno! Już w opłotach księżyń
Drga, bije, wiję się i przeży,
Króluję, beznadziejnie naga!
I wtedy taka rzecz się stała,
Jakiej od wieków nie pamięta
Żadna w Koronie diecezja...
Bo nagła furia ksiądz zapalał
I wrzasnął: „Za drzwi! Precz, przekłeta!
„Precz, pokusnik! Milcz, zuchwała!
„Taceat muller in ecclesia!
„Meretrix es et Va daemonum!“
I palcem wskazał potępioną,
I wiodł tym palcem i oczyma
W świat...

Nie zdziwiła się dziewczyna.
Westchnęła, poszła. Dwa strumyczki
Ściekały ciepło przez policzki.
A za dziewczyną, przerażony
Hańbą niewinnej czarowniczką,
Błędny dziadek, błędny i pobladły,
Potykający się, bezradny,
Niczem w łeb pałą uderzony...

Już przy drzwiach byli, gdy, jak kłoda,
Zwałł się błędny ksiądz Komoda.
Padł twarzą naprzód. Długie ręce
Przed siebie rzucił z balustrady
I zawisł na niej. Tak na scenie
Marionetkowej, Pierrot błądy
Przez krawędź ramy przewieszony,
Spł, głową nadół.
Dosyć. Nie lubi Ksiądz Komoda
Tych wspomnień. Wprawdzie to już osiem
Minęło lat, a wciąż na nosie
Znak po wypadku... I to dodam:
Że autorytet podważony,
Gdy się tak zwala ksiądz z ambony...
„Gorunc go wzłun“, mówili chłopcy,
A inni, że „musowo popił“,
A trzeci, że „z ekliwości dusy,
Od tyj galówki... Bo un tsymo
Z legjonem, to się kapke zrusyl...
A w tyj Dziewlerce winy nimo.“
Babę mądrzejsze: „Nie inacy,
Ino zadała mu pokusy“.

Tegoż wieczora pan Ignacy
Wyruszył z wnuczką do Warszawy.

Co dalej — czytaj kto ciekawy.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

O jedność klasy robotniczej

Okres międzywojenny zaznaczył się w historii ruchu robotniczego rozbiem międzynarodowej organizacji proletariatu. Z II Międzynarodówki, jednoczącej ongi partie socjalistyczne pozostały tylko szczątki, disiecta membra, unoszące się bezwładnie na falach powojennego zamętu. „Dzwony Bazyli”, zgodnie z przewidywaniami Aragona, wywróżyły rozkład i upadek Międzynarodówki socjalistycznej, której siła i spójność nie wytrzymały naporu doświadczeń lat 1914—1918.

Przebieg i wynik Rewolucji Październikowej stworzyły nową sytuację w ruchu robotniczym. Wokół wielkiego centrum rewolucyjnej Rosji powstała i skupiła się III Międzynarodówka komunistyczna, której oddziały w poszczególnych krajach wzięły na siebie rolę bojowej awangardy ruchu robotniczego. Jednocześnie, w trudzie i mozołach, dawni przywódcy II Międzynarodówki dokonywali dzieła jej odbudowy, co odbywało się nie bez tarć wewnętrznych, rozłamów i nieporozumień. W rezultacie, światowy ruch robotniczy rozszerzył się na dwie odrębne organizacje, a choć obiedwie pisały na swych sztandarach: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” — tendencje łączenia się były raczej w zaniku, przeciwnie zaś — stosunki, zarówno między centralami organizacyjnymi, jak i między krajowymi ich odpowiednikami, nacechowane były wzajemną nieufnością i wrogością.

Marsz Mussoliniego na Rzym i jego polityczne skutki stały się pierwszym ostrzeżeniem pod adresem partii robotniczych, unaoczniających niebezpieczeństwo rozbitcia i groźne perspektywy przyszłości. Nie wszyscy jednak zechcieli w porę i bez zastrzeżeń wyciągnąć z tego ostrzeżenia wnioski. Obiektywizm każe stwierdzić, że wśród przywódców III Międzynarodówki było na ogół więcej zrozumienia, wytwarzającej się dla ruchu robotniczego sytuacji, niż wśród przywódców partii socjalistycznych, skrupowanych kategoriami myślowymi sprzed r. 1914. Z lepszej oceny położenia wpływały i trafniejsze przewidywania co do nieuniknionego rozwoju wypadków, zaś te przewidywania nakazywały zwierać i uaktywniać szeregi, przekształcać je w świadomą i aktywną siłę zdolną do stawienia czoła nadciągającej nawałnicy faszystów.

Przewrót hitlerowski spowodował natychmiastowe obezwładnienie dwóch potężnych, lecz chodzących luzem, partii marksistowskich, zupełnym zniknięciem z powierzchni życia politycznego, śmiercią lub więzieniem swych przywódców zapłaciły one wysoki rachunek za międzypartijne spory, wale i niezdolność do skutecznego porozumienia. Wina obciążała tu w większej części socjal-demokrację niemiecką, należąca do najbardziej prawicowych ugrupowań II Międzynarodówki. Ideologiczna chwiejność i oportunizm wielu spośród przywódców socjal-demokratycznych pchały ich w objęcia odwetowego nacjonalizmu, czyniły skłonny do daleko idących kompromisów i współzrądzów z niemiecką reakcją, wyrzucały ich niekiedy poza nawias tego, co można by nazwać światopoglądowym minimum socjalizmu.

Katastrofa ruchu robotniczego w Niemczech, poprzedzona sukcesami faszystów włoskiego, ukazała już bez obłonek wewnętrzną słabość organizacji robotniczych na zachodzie Europy, podzielonych na dwie Międzynarodówki i targanych w łonie poszczególnych partii co raz ostrzej zarysowującymi się sprzecznościami. Ofensywa światowego faszystów czyniła zastraszające postępy w ruchu robotniczym: nie mogło już być mowy o działaniach ofensywnych, można było myśleć co naj-

wyżej o sposobach i środkach obrony, a jasnym stawało się dla każdego, że droga do skutecznej obrony prowadzić może jedynie poprzez odbudowę jedności działania klasy robotniczej, choćby tylko narazie metodą doraźnych porozumień taktycznych.

Wypadki austriackie, spowodowane przez Dollfussów i Fey'ów, oraz próby faszystowskiego zamachu stanu we Francji stanowiły — na tle ogólnej sytuacji europejskiej, znaczonej postępami agresji hitlerowskiej — nowe lekcje dla międzynarodowego ruchu robotniczego, przed którym wyrastało już ostateczne i decydujące pytanie: „Być albo nie być”, ostać się, lub ulec całkowitemu rozproszeniu i zagładzie. Obudzony w ogniu tych doświadczeń instynkt klasowy zaczął jednak manifestować swe istnienie, biorąc górę nad ambicjami niektórych przywódców, nad tchórzostwem, oportunistem, kunktatorstwem i sekciarstwem. Czerwonego Wiednia bronili mężnie ramię przy ramieniu socjaliści i komuniści austriaccy, składając dowód solidarności klasowej w obliczu wspólnego wroga. We Francji, w wyniku umowy wyborczej doszedł do władzy rząd Frontu Ludowego, którego trzonem były partie proletariackie. W Hiszpanii pod ciosem rebelii frankistowskiej — uzyskano, w ramach republikańskiej koalicji, zupełną zgodność działania pomiędzy partiami socjalistyczną i komunistyczną.

Doraźne porozumienia jednolitofrontowe dochodziły do skutku również w innych krajach, w ostatnich latach przedwojennych tendencje jednolitofrontowe — mimo oporu partyjnych szczytów, zaznaczyły się z dużą siłą i w Polsce, czego praktycznym wyrazem były wspólne listy wyborcze w wyborach samorządowych, założenie „Dziennika popularnego” i różne akcje terenowe.

Wszystko to były jednak tylko uzgodnienia lokalne, cząstkowe, taktyczne. Rozłam zasadniczy, podział na dwie Międzynarodówki (pomijamy tu jeszcze jedną, t. zw. „2 i 1/2”, jako nie mającą w ruchu robotniczym poważniejszego znaczenia) istniał nadal i nie przestał być faktem w chwili wybuchu drugiej wojny światowej. Dopiero rozwój sytuacji wojennej wywołał głęboki wstrząs w świadomości mas robotniczych i skłonił je do zdecydowania do szukania dróg organicznej, całkowitej jedności.

Antyfaszystowskie „ruchy oporu” we wszystkich krajach okupowanych zrealizowały tę jedność niemal automatycznie, wprowadzając metodą nie organizacyjną, lecz praktyczną. W walce z faszystowskim najeźdźcą wykuwała się i krzepła jedność patriotycznych aktywistów robotniczych, a ich *pakt jedności* i braterstwa broni powstał nie wśród długich i zawiłych dyskusji międzypartijnych, lecz pisany był krwią przelewana wspólnie w obronie honoru i wolności ojczyzny. Taka jedność ma w sobie wszelkie elementy siły i trwałości, tworząc najmocniejszy fundament pod formalne zjednoczenia organizacyjne. Oczwieszczone zostały ponad to szlaki, wiedząc o zjednoczeniu w skali światowej. W pierwszym roku wojny radziecko - niemieckiej rozwiązano III Międzynarodówkę. Ten radykalny krok podktykowały jej władzom konieczności polityczne i militarne, niosące w sobie nakaz jak najdalej idącej samodzielności krajowych partii komunistycznych, jako prądu dających niejednokrotnie w walce z okupantem. Odmienność sytuacji wojennej w poszczególnych krajach stawała postulatem autonomiczności działa-

nia tych partii, t. j. uniezależnienie ich od sztywnych i jednolitych dyrektyw, płynących ze wspólnej, lecz dalekiej centrali organizacyjnej.

Podczas gdy III Międzynarodówka została zlikwidowana w sposób celowy i zamierzony, jej odpowiednik socjalistyczny II Międzynarodówka uległa rozbięciu drogą samoczynnej dezintegracji. Jej wewnętrzna siła, zwartość i prężność, nadwątłone mocno już przed wojną na skutek katastrofy socjalistów włoskich i niemieckich, nie wytrzymały próby „czasów pogardy”, tak, że faktycznie o istnieniu Międzynarodówki socjalistycznej w tej chwili mówić nie można, choć z pewnych stron czynione są niezbyt fortunne próby, by tę organizację przywrócić do życia. Jednym z charakterystycznych rysów wojennej historii europejskiego socjalizmu są tendencje i efekty rozłamowe wewnątrz partii socjalistycznych. We wszystkich niemal krajach europejskich ruch socjalistyczny ulegał — pod wpływem wydarzeń wojennych — daleko idącym przeobrażeniom, a wynikiem rewizjonistycznego fermentu stał się prawie wszędzie rozłam partii socjalistycznej na dwie odrębne grupy: lewicową, rewolucyjną, jednolitofrontową — i prawicową, oportunistyczną, tradycjonalistyczną w programie i działaniu.

Zagadnienia jedności ruchu robotniczego ma w chwili obecnej dwa aspekty: *organizacyjny i taktyczny*. Sprawa rozpatrywana w aspekcie pierwszym wydaje się z wielu względów jeszcze niedojrzała do całkowitego rozwiązania, choć w niektórych krajach jedność organizacyjną już osiągnięto (np. w Niemczech powstała Socjalistyczna Partia Jedności — SED jednocząc lewicowych socjalistów i komunistów; w Słowacji — socjaliści i komuniści tworzą dziś jedną partię), w innych zaś (np. w Norwegii) taka jedność znajduje się w toku realizacji. Natomiast kwestia ścisłego porozumienia politycznego i jedności taktycznej uznawana jest niemal powszechnie i w wielu wypadkach pomyślnie realizowana, a partia komunistyczna i socjalistyczna tworzą wspólnie w licznych krajach podstawę i główny czynnik rządów ludowych.

Ruch zjednoczeniowy, jednolitofrontowy ujawnia się ze szczególną siłą w krajach środkowej i Wschodniej Europy oraz we Włoszech a wszędzie gdzie osiąga swe cele *zapewnia masom ludowym należyty udział w rządach przyspiesza tempo realizacji reform społeczno - gospodarczych*, staje się ośrodkiem postępu, planowości, dążeń pokojowych i regeneracyjnych. Rezultaty wyborów w Czechosłowacji, Jugosławii, Bułgarii, Rumunii są wykładnikiem rosnącej potęgi wspólnego frontu partii marksistowskich i gwarancją szybkiej demokratyzacji tych krajów. Rzecz można — na podstawie konkretnych doświadczeń — że wszędzie, gdzie klasa robotnicza maszeruje i walczy razem, odnosi niewątpliwie sukcesy; tam, gdzie tej wspólności dotychczas nie ma, reakcja umacnia swe wpływy i sięga po władzę.

Przeszkód do osiągnięcia organizacyjnej jedności klasy robotniczej jest wiele i różnorodnej natury. Grają tu rolę nawet nie tyle względy programowe (bo jakież mogą być istotne różnice programów pomiędzy partiami marksistowskimi?), ile przyczyny raczej uboczne, raczej obumarłe tradycje, nałogi myślowe i konserwatywne sekciarstwo. Zasłepienie i dogmatyzm starych „wodzów” idą niekiedy tak daleko, że nawet w krytycznych dla kraju i klasy robotniczej momentach odżegnywują się od jedności, idą samopas i zbierają — klęski, zarówno dla siebie, jak i dla swej partii.

Poza rządzącą dziś w Anglii Labour Party, która choć liczy wielu marksistów, nie uważa się za partię marksistowską i odrzuca kategorycznie myśl porozumienia i jedności z komunistami, *szczególny opór* w stosunku do idei jedności organizacyjnej, a nawet tylko taktycznej, ujawnia francuska partia socjalistyczna (SFIO), z Leonem Blumem na czele. Naskutek tego oporu i uporu, partia Bluma ponosi stałe porażki wyborcze, traci wpływy w masach, a — co najgorsze — osłabia w ogóle dynamikę ruchu robotniczego i przyczynia mu bardzo realne szkody. Odrzucenie paktu wyborczego z komunistami w wyborach czerwcowych spowodowało utratę większości absolutnej w parlamencie, posiadanej poprzednio przez partię robotniczą, a co za tym idzie — zmusiło te partie do przyjęcia kompromisowego, mniej radykalnego w porównaniu z poprzednim, projektu konstytucji. Niezdecydowanie socjalistów francuskich w sprawie większości rządowej wystawia na ciężkie próby obie partie robotnicze i prowadzi do przewlekłych kryzysów, bądź też tymczasowości w życiu politycznym kraju. Poparte licznymi ustępstwami apele komunistów francuskich zdają się nie trafiać do przekonania przywódców SFIO. Fatum złych tradycji i obciążen paraliżuje wolę i czynny partii, której wielu członków głosowało w r. 1940 za pozbawieniem komunistów mandatów parlamentarnych, której posłowie w liczbie przytłaczającej (110 na 136) głosowali nieco później za oddaniem władzy w ręce Petaina. Te fakty uzupełnić można szczegółem, że już po wojnie, w r. 1945, gdy poddawano rewizji statut partyjny SFIO, usunięto zeń, pod wpływem Bluma, pojęcie walki klasowej („lutte de classe”), zastępując je mdłym wyrażeniem — „akcją klasową” (action de classe’).

W Polsce okres wahań, swarów i nieporozumień pomiędzy partiami robotniczymi mamy już szczęśliwie za sobą. Jedność tych partii, scementowana wspólnością ofiary i krwi w walce z okupantem, stała się decydującym elementem naszej nowej rzeczywistości i podwaliną lepszej przyszłości kraju. Pakt jedności, zawarty dn. 28 listopada b. r. pomiędzy PPR i PPS wytycza jasno drogę dalszego współdziałania i obliczony jest na długą metę, bowiem p. 6 porozumienia głosi, *„że poprzez coraz silniejszą współpracę i ideowe zbliżenie, obie partie zmierzają do osiągnięcia pełnej jedności organicznej”*.

Omawiając znaczenie paktu międzypartyjnego, sekretarz generalny K. C. PPR — wicepremier Gomułka podkreślił z uznaniem, że założeniem i celem porozumienia jest nie tylko uzyskanie zwycięstwa w wyborach styczeniowych, lecz ułatwienie, dzięki temu zwycięstwu, urzeczywistnienia wyższych i ważniejszych zamierzeń, jak odbudowa kraju, zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych, realizacja planu 3-letniego. Wśród klasy robotniczej w środowisku o jednolitym obliczu i jednolitych interesach klasowych — mówił wicepremier Gomułka — działają jeszcze dwie partie robotnicze — PPR i PPS... Taki jest stan faktyczny na dzień dzisiejszy. Sprawa jedności organicznej postawiona została nie na dziś, lecz na jutro. Głównym zadaniem na dzisiaj — to współpraca od góry do dołu. Naszym hasłem powinno być: „podejmujemy wszystko, co nas łączy i odrzucaamy wszystko, co nas jeszcze dzieli”.

To realistyczne, lecz i perspektywne sformułowanie jednościowe odpowiada niewątpliwie pragnieniom i nadziejom całego obozu demokracji polskiej.

Bolesław Dudziński

KAZIMIERZ BRANDYS
i PAWEŁ HERTZ

DIALOGI PARYSKIE

We wrześniu 1946 roku byliśmy w Paryżu. Pewnego razu zauważyliśmy wśród cudzoziemców - obserwatorów Paryskiej Konferencji Pokojowej, dwóch młodych ludzi, prowadzących ożywioną rozmowę. Nie wiedzieliśmy kim są ani skąd pochodzą. Mówili po francusku, z obcym akcentem. Wszystko czego zdołaliśmy się dowiedzieć, wysnułismy z treści ich rozmów. Były one bowiem tak charakterystyczne, że poświęciliśmy kilka dni, aby w kawiarni lub na ulicy być w pobliżu obu nieznanym i słuchać, co mówią. Poniższe dialogi to zanotowany przez nas tekst tych rozmów. Czytelnik dowie się o tych ludziach tyle, ile wiedzieliśmy o nich my sami.

Oto pierwsza rozmowa:

Taras kawiarni na ulicy Tournon, na prawo brama wjazdowa do Pałacu Luksemburskiego, ozdobiona buketami flag Narodów Zjednoczonych. Policjanci na ulicy Vaugirard wskazują drogę samochodom, wiozącym delegatów Konferencji do Luksemburga. Mała garstka widzów.

Cudzoziemiec I: Rzeczywistość przybiera inne kształty niż wyobrażenie o rzeczywistości. Gdy w okresie okupacji myślałem o dniach pokoju, byłem przekonany, że będę płakał z radości wśród entuzjastycznych tłumów. Tymczasem dzisiaj, gdy o kilka kroków od nas przedstawiciele świata wywołanego od faszyzmu toczą swe obrady, nie myślę o niczym innym, jak tylko o tym, że otarłem sobie lewą nogę, że pieczę słońce i że chciałbym czym prędzej znaleźć się w moim pokoju hotelowym, jak najdalej stąd. Czuję wyrzuty sumienia za swoje samolubstwo, gdyby nie to, że moja lewa noga również przeszła wojnę i należy się jej odpocząnek.

Cudzoziemiec II: Tak samo jak i Narodom Zjednoczonym. Mój drogi, od pierwszego września 1939 roku moje wyobrażenie o rzeczywistości stara się być skromniejsze od niej samej. Nie wiele żądam od świata. Odrobiny zdrowego rozsądku, i wydam się, że te odrobinę znaleździemy tutaj, w Pałacu Luksemburskim. Już choćby to, że dziewiątego maja 1945 roku nie wybuchła nowa wojna, na którą tak bardzo liczą niektórzy nasi znajomi, nazywając ją „trzecią światówką”, świadczy o tym dobitnie. Rzecz jasna, że ta odrobina rozsądku ze strony dwóch wielkich mocarstw nie ma nic wspólnego z wychwalanym przez nie humanitaryzmem, lecz jest tylko wynikiem trzeźwego rachunku. Twoje rozczarowanie wynika tylko z tego, że nie uwzględniłeś rachunku. To błąd.

Cudzoziemiec I: Zależy mi się, że wszyscy ludzie walczący o postęp popełniali to, co ty nazywasz błędem. I kto wie, czy za ten błąd świat nie powinien być im wdzięczny. Wszystkie bowiem przemiany w świecie dokonane przez ludzi, dokonywane były przez tych, których wyobrażenia o rzeczywistości przerastały samą rzeczywistość. Mówisz o rachubach, których nie wziąłem pod uwagę: zgoda! Ale (wskazuje palcem Pałac Luksemburski) to, co się dzieje tam, może natrafić na przeszkody, jakich nie przewidują sami rachmistrze. Zachowałem jeszcze z lat przedwojennych tę słabość, że wierzę w imponowalność i sumienie ludów. Pamiętasz, jak nie wiele lat dzieliło Święte Przymierze od Wiosny Narodów? Nie dałbym głowy za to, czy jeden z tych gapiów, których widzisz przed Luksemburgiem, nie będzie kiedyś w tym samym miejscu wznosić barykad przeciwko rachmistrzom „trzeciej światówki”.

Cudzoziemiec II: Cóż za romantyczne frazesy! Popatrz: twój budowniczy przyszłych barykad ma w kieszeni ten sam numer dzisiejszego „Le Monde”, który tu leży na stoliku. A ta gazetka, jak wiesz, nie nawołuje tłumy do wznoszenia barykad. Przeciwnie, jak większość paryskiej prasy, chętnie go rozbraja. Nie wierzę w imponowalność, ani w sumienie ludów w tych krajach, gdzie tak ceniony jednak mimo wszystko przez nas obu liberalizm wydaje już dzisiaj przegniłe owoce. Są one być może słodkie, ale jedynie dla kilku podniebień, dla ludów są tylko gorzkie. Nie wierzę również w to, że zmiany dokonywują się wyłącznie z woli ludzkiej, ludzie bowiem bywają bardzo różni — jedni dysponują tylko dobrą wolą i sumieniem, inni — prasą, propagandą, wojskiem, policją, fabrykami broni i frazesem. Sumienie, im bardziej szlachetne, tym bardziej bywa bezradne i wymaga pomocy sił realnych. Sumienie bez techniki — to szlachetna bez-

radność, która już kilkakrotnie zgubiła w historii sprawę postępu. Powiedz to twoim budowniczym barykad!

Cudzoziemiec I: Nie jestem takim pesymistą. Świat nieraz zmieniali ludzie. Ludzie głodni. Ich wyobrażenie o rzeczywistości nie było przesadne. Wierzyli tylko w to, że znajdują w niej kiedys dla siebie miejsce. Nie doceniasz potęgi tej wiary. Mówisz, że szlachetność naszych sumień jest samotna. Zależy się, że zapominasz o tym co stanowi materialne zaplecze naszego sumienia: o ludziach głodnych, o Hindusach, o ludach Polinezji, o czarnych ludach kolonii angielskich i o białych ludziach ze slumsów White Chapel i baraków Levallois. Mówisz o fabrykach broni, które są siłą tamtych, ale nie wolno nam zapominać, że te fabryki powstały z pracy ludzi głodnych. Jeśli żądają dla siebie miejsca w historii, nam nie zabraknie sumień, ale w fabrykach zabraknie czołgów.

Cudzoziemiec II: Chciałbym zastąpić słowa „wierzyć” i „wiera” słowami „wiedzieć” i „wiedza”. Możemy sobie przecieżyć na to pozwolić w naszym atomowym wieku. Być może, iż wiara przenosi góry, ale wiedza wspina się po nich miarowo. Bardzo ufam krokom powolnym i odmierzonym; rozważnym i planowym.

Cudzoziemiec I: Myślę, że słowa „wiera” będą broniły radykalni katolicy z którymi łączą nas sumienie i wstręt do fabryk broni.

Cudzoziemiec II: Ale dzielą nas metody!

Cudzoziemiec I: Raczej tempo. Byłem kiedyś świadkiem rozmowy między komunistą i katolikiem z grupy „Esprit”. Pierwszy mówił: „Dajmy do wspólnego celu, ale my jedziemy nowoczesnym samochodem, a wy — wózkami probošczka”. Katolik uśmiechnął się i odrzekł: „Ale my nie przejeżdżamy ludzi”. Na to komunist:

Cudzoziemiec II: Znam to: „Przejeżdża się tylko tych, którzy stoją na drodze”.

Słychać głos megafonu: „Samochód numer 345, Delegacja Wielkiej Brytanii”. Policjant na rogu ulicy Vaugirard podnosi paleczkę. Przejeżdża limuzyna z angielską chorągiewką.

Cudzoziemiec II: To pewnie jakaś gruba ryba z Downing Street. Dużo dalbym za to, żeby wiedzieć co się dzieje w jego głowie.

Cudzoziemiec I: O, to żaden sekret! Wystarczy przeczytać dzisiejszy komunikat o

powrocie Jerzego Greckiego do Aten, o sprawach Palestyny, Egiptu, o angielskich projektach w sprawie Triestu. Upewniam cię, że twoja gruba ryba z Downing Street to właśnie jeden z rachmistrzów i że bez względu na to, czy go w młodości uczono arytmetyki w świeckiej szkółce Labour Party czy w niedzielnej szkółce konserwatywistów, rachunek zawsze wypadnie tak samo.

Cudzoziemiec II: Klęską tej konferencji jest to, że zasiadają na niej ludzie, którzy chcą ratować nie świat, lecz swoje własne imperia. My mamy tę gorzką wiedzę, że wszystko cośmy przeżyli w ciągu ostatnich sześciu lat, to była nie tylko klęska naszego kraju, ale klęska ludzkości. Tę samą wiedzę ma dzisiaj Czech, Francuz, Polak czy Jugosłowianin, człowiek z nad Dniepru, czy czło-wiek z norweskich fiordów. Jest jakiś paradoks w tym, że przez cały czas wojny czuliśmy grozę na myśl, że armie faszyzmu mogą wmaszerować na strzyżone trawniki brytyjskiej wyspy. Dziś jesteśmy zaskoczeni, że nie możemy się porozumieć z tymi narodami, które nie zasnęły klęsk. To trochę dziwne: braterstwo narodów, które złączył kataklizm. Czy nie sądziś, że gentleman z Foreign Office mógłby mieć dziś przed oczyma inny obraz świata, gdyby przez poprzednie sześć lat oglądał to, co my?

Cudzoziemiec I: Nie, nie sądzę. Gentleman z Foreign Office ma taki obraz świata w głowie, jaki powstaje wtedy gdy pierwszą troską jest zachowanie linii komunikacyjnych, łączących od wieków metropolie z Commonwealthem. Te linie są zagrożone przede wszystkim przez rozwój i prężność ludów, które wzdłuż nich mieszkają. Dlatego dobrze rozumiem, że Sir Alexander wczoraj wieczór, to znaczy na dwadzieścia godzin przed ostatecznym wynikiem greckiego referendum, zaprosił do „Casanovy” przewodniczącego greckiej delegacji i pogratulował mu pomyślnych wyników głosowania. Opowiadała mi o tym pewna dziennikarka z „Overseas Agency”. Jeśli to nawet jest plotka, to w każdej plotce jest co najmniej pół prawdy!

Cudzoziemiec II: Ach ta Grecja! Zależy się, że nikt w Europie nie wyszedł tak źle na swoim sojuszu z Anglią jak oni. Czy wiesz co pewien nasz wspólny przyjaciel powiedział o Anglii i o Rosji? Że Rosja od swoich sprzymierzeńców domaga się tylko

lojalności, dla swoich wrogów zaś jest bezlitosna. Anglia natomiast jest bezlitosna dla swoich sprzymierzeńców, a od swoich wrogów wymaga tylko produkcji ciężkiego przemysłu. Kto wie czy ten paradoks nie określa najlepiej obecnej sytuacji w Europie. Jeśli jest Bóg, powinien zlitować się nad Grecją, bo na angielską litość nie ma co liczyć!

Megafon: „Samochód numer 853, Delegacja Indii”

Cudzoziemiec I: Patrz, w tym samochodzie, który wiezie delegację hinduską, jedzie angielska koncepcja kolonialna. Myślałem o niej wiele, gdy mi przyszło żyć w czasie wojny w sowieckich republikach na południu Związku. W pojęciu przeciętnego Anglika republiki te są zamieszkałe przez ludy kolorowe; Turkmeni, Kirgizi, Uzbeki czy Kazacy pod angielskim panowaniem byłiby braćmi w nędzy i ciemnocie mieszkawców krain z drugiej strony Pamiru.

Cudzoziemiec II: Tak, myślałem już o tym. Sądzę, że mało kto dotychczas zastanawiał się nad tym aspektem różnicy między Rosją dzisiejszą i Anglią. Wystarczy trochę dobrej woli, aby uznać, że surowa w naszym zachodnio-europejskim pojęciu egzystencja mieszkawcy Moskwy, jest skutkiem ofiary, jaką naród rosyjski ponosi na rzecz młodszych cywilizacyjnie ludów, zamieszkujących ogromne terytorium Związku. Dostatek i komfort życia 40 milionów brytyjskich wyspiarzy wynika po prostu z odwrotnego procesu: z przymusowej ofiary milionów ludzi kolorowych na rzecz garstki whigów i torysów.

Cudzoziemiec I: Tak, sprzeczności i zatarci tej konferencji, jak mi się wydaje, wynika z zasadniczego konfliktu między kapitałem i różnymi formami socjalizmu. Ale co jest znamienne dla naszych dni: że w tej walce wyrasta nowa stawka: gruba ryba z Foreign Office walczy dziś nie tylko o uchronienie angielskiego przemysłu od „zarazy” nacjonalizacji. Foreign Office walczy przede wszystkim o utrzymanie angielskiej imperialistycznej koncepcji kolonialnej. Anglia, właściciel sił roboczych i surowców w krajach niskich cywilizacji, dostrzega dziś wyraźnie niebezpieczeństwo ze strony sowieckiej koncepcji narodowościowej, która w oczach grubej ryby z Foreign Office jest tylko nową odmianą koncepcji kolonialnej. A my przecież wiemy, czym jest ta koncepcja narodowościowa naprawdę: jest równouprawnieniem. I właśnie to daje ludom młodszych cywilizacyjnie ogromne perspektywy i nadzieje. Rosjanie na swoim terenie pomagają młodszym narodom w organizowaniu technicznej bazy ich samodzielności, pokrywają kraje do niedawna półdzikie siecią szkół powszechnych i ambulatoriów, gdzie nauczyciel uczy w języku tubylczym, a lekarz w języku tubylczym rozmawia z chorym. Przyznasz, że nie kształci się fachowców, nie tworzy się kadr inteligencji i nie zakłada się ciężkiego przemysłu na terenach przeznaczonych do eksploatacji. Nie odrzuca się wysokich niekiedy tradycji kulturalnych i nie wydaje się gramatyk dla narodów, które mają pozostać w kléracie. Widziałem w stepach Kazachstanu światło elektryczne i poruszane naftą traktory. Rozumiesz, że dla mnie nie była to rewelacja, ale dla kazachskiego chłopca — to nowy rozdział w historii.

Cudzoziemiec II: Rozumiem. Pewien lekarz, który służył w armii de Gaulle’a, powiedział mi, że kolonie angielskie rozpoznawał natychmiast z okna pociągu: białe pałacyk angielskiego inżyniera, kort tenisowy, garaż — a obok: nędzy tubylcy z przepaskami na biodrach. Wracam do początku naszej rozmowy: Rachmistrze boją się imponowalności. Siła moralna zjawiska równouprawnienia narodów na terenie Związku Sowieckiego, to właśnie imponowalność na które stawiam. Masz oczywiście słusność, gdy twierdzisz, że i to imponowalność ma swój aspekt materialny i gospodarczy.

Cudzoziemiec I: Wrócimy jeszcze do tej rozmowy. A teraz chodźmy. Za chwilę rozpocznie się sesja w sprawie Triestu.

(Po tych słowach nieznanymi opuszczili kawiarnię i poszli w stronę głównego wejścia do pałacu, ozdobionego flagami. Zegar na wieży Luksemburga wybił właśnie południe).



ANDRZEJ STAWAR

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

(II) Orientacje kulturalne



W SWOIM czasie w kołach literackich mówiło się o jednostronności Boy'a. Na ówczesnej giełdzie intelektualnej walory francuskie nie stały najwyżej. Zacieśnienie francuszczyzną po trosze traściło anachronizmem, atmosferą „Cudzoziemszczyzny” Fredry. A znowuż Boy (co nieraz wypadnie podkreślić) nie okazywał szczególniejszego zainteresowania sporami i polemikami swego czasu, które zacierzały literatów. Podobnie jak innych pisarzy współczesnych walka o kierunki, prądy umysłowe, wszelkie „izmy”, tak Boy'a pasjonowało ścieranie się całych formacji kulturalnych. Nie ignorując walki prądów umysłowych, ujmował ją w takich zagęszczeniach historycznych, że z nich znikało wiele problemów, które w skali roku czy pięciolecia mogły się niemal wydać sprawami życia czy śmierci, jak to bywa w dyskusjach przesyconych zagadnieniami aktualnymi. W ówczesnej umysłowości polskiej, która przedstawiała teren ścierania się wpływów najróżnorodniejszych, Boya zaprzętał jeden głównie problem — ścieranie się wpływów kulturalnych francuskich i niemieckich.

Sprawy te wiążą się ściśle z przeformowaniami społecznymi. Nasza arystokracja i szlachta od stulecia przeszło pozostawały pod wpływami kulturalnymi francuskimi, — uczono się tam języka francuskiego od dzieciństwa i poznawano go lepiej częściej niż ojczysty. Na niemiecką patrzone z lekceważeniem, był to język kupców, bakalarzy, rzemieślników — zresztą arystokracja niemiecka żywiła poglądy podobne, polski, znajomość wielkiego świata, stosunki międzynarodowe dawała francuszczyznę.

Polskie mieszczaństwo — przesiąknięte było zdawną elementem pochodzenia niemieckiego, zresztą ludność żydowska miała posilkowała się dialektem niemieckim w zasadzie. Pół Polski etnograficznie pozostawało w sferze działania niemieckiego języka urzędowego. Szerokie rzesze mieszczaństwa, zamożniejsi chłopcy kształcili swe dzieci w szkołach — ich nie stać było na guwernerów. Pomijając sferę spraw urzędowych, kupiec czy przemysłowiec potrzebował niemieczyny w stosunkach handlowych, — lekarz, prawnik, inżynier — korzystali z dobrych podręczników niemieckich. Za tym szły rozgałęzione wpływy kulturalne.

W czasach Boy'a „pański Kraków” pozostawał jeszcze w sferze oddziaływań francuskiej kultury, gdy elementy mieszczańsko intelektualne znajdowały się pod przeważającym oddziaływaniem niemieczyny. Po ojcu Boy pochodził ze środowiska szlacheckiego (dział jego został zamordowany przez chłopów podczas rabacji). Czasy szkolne Boy na ogół wspomina z pewnym lekceważeniem — zjawisko charakterystyczne dla osób, których kultura domowa wynosiła nad środowisko szkolne. Przenosząc się z Warszawy, gdzie wrzała walka kulturalna — w dzieciństwie już uwarstwiony na te sprawy — Boy w Krakowie znalazł kocioł, naładowany sprzecznościami kulturalnymi. Tu można widzieć zarodek jego długoletniej kampanii francuskiej.

Z czego nie wynika, iż rozwój młodego Boya przechodził jednolicie, tym bardziej, iż te najwcześniejsze wpływy spotkały opór w duchu epoki. W przedmowie do drugiego tomu „Flirtu z Melpomeną” Boy broniąc się przed zarzutami jednostronności kulturalnej, wylicza urozmaicony wachlarz oddziaływań, którym podlegał we wczesnej młodości, przytacza tam autorów niemieckich, skandynawskich, rosyjskich, którzy oddziaływali na ukształtowanie się jego oblicza duchowego. Istotnie Boy mało przypomina tradycyjny zdyskredytowany typ polskiego wielbiciela francuszczyzny, przysłowiowego „Paryżanina Północy”.

W życiu literackim Krakowa ówczesnego, wpływy niemieckie, których nie brakło na miejscu, wzmocniła jeszcze migracja z zewnątrz. Odgrywała tu rolę wybitną indywidualność Przybyszewskiego. Rzecz na pozór paradoksalna, ten Wielkopolek, zmuszony przez stosunki miejscowe właściwie do emigracji, stał się personifikacją wpływów niemieckich. Przybyszewski debiutował w Berlinie, pierwsze utwory, zresztą — zdaniem Boy'a — później nieprześcignione — drukował w języku niemieckim. Przy swej skądinąd entuzjastycznej swojskości pozostał w dalszym ciągu w aurze pojęć berlińsko-skandynawskich. Później, podczas poprzedniej wojny światowej, w związku z walką „orientacyjną” wydał broszurę, w której przejawiał pozytywne wpływy Niemiec na życie kulturalne Polski, ich zbawienność i zasadnicze znaczenie. Mniej ostro ujawniały się wpływy podobne w innym emigrancie z Wielkopolski, Kasprowiczu — niezależnie od odrębności przez tego syna chłopskiego mocno zaznaczonej. Zresztą należy podkreślić, że Przybyszewski i Kasprowicz mieli silne poczucie polskości, dawali temu wyraz nader sugestywny. Ich europejskość natomiast nosiła silny stempl niemiecki, arcyposcy w wyrazie literackim, jeśli chodzi o zagadnienia ogólniejszej natury, pozostawali pod wpływami młodości. Jeśli chodzi natomiast o Wyspiańskiego, największą niewątpliwie postać krakowskiej „Młodej Polski”, to aczkolwiek jego poetyka pozostawała niewątpliwie pod urokiem Wagnera i Nietzschego, to jednak jego osobliwości artystyczne, pewna ciasnota przy wielkiej intensywności przeżywania tradycji, impregnowała go od wpływów zagranicznych w stopniu większym niż innych pisarzy współczesnych. I Wyspiański i Przybyszewski zawazyli na umysłowości młodego Boy'a nader wydatnie — problematyka Przybyszewskiego u Boy'a to zresztą temat odrębny. Wpływ Wyspiańskiego — satyryka i lirika — zawazył dość silnie na „Słówkach”. Tylko z zaznaczoną już wyżej poprawką — oddziaływanie u indywidualności takiej jak Boy z reguły równa się odpychaniu. W późniejszym okresie Boy poświęcił obu tym pisarzom szereg esejów i wspomnień. Zresztą owe wpływy kulturalne nie pokrywały się na ogół z politycznymi. Boy w artykule „Bezwidne orientacje” kładzie nacisk na bezwidność, nieświadomość nawet panującą tutaj. Rzecz w tym, iż w pewnym stopniu orientacje polityczne kolidowały z kulturalnymi. Jak zaznaczyłem szlachta i arystokracja pozostawała pod wpływem francuszczyzny, mieszczaństwo kulturalnie ulegało wpływom niemieckim. Natomiast polityczna orientacja „centralna” miała liczejszych zwolenników wśród ziemianstwa, niż wśród burżuazji miejskiej. Mieszczaństwo nawet w Poznańskim i Galicji posiadało sporą ilość żywołów rusofilskich co się tłumaczyło względami politycznymi — gospodarczymi. Znaleźnienie się w kręgu wpływów niemieckich, państwa przemysłowego o deficycie żywnościowym, wróżyło ziemianom wysokie ceny produkcji rolniczej

a niskie wyrobów przemysłowych. — Rosja carska natomiast, kraj rolniczy, zalewając Polskę tanimi produktami żywnościowymi, stanowiła znakomity rynek dla wyrobów przemysłu polskiego, gdy Niemcy były zainteresowane w zniszczeniu przemysłu polskiego. Tradycyjnie wpływy kulturalne nie zawsze szły po linii oddziaływań politycznych, tym się tłumaczy zjawisko, o którym pisze Boy, iż wielu politycznych przeciwników Niemiec, gdy chodziło o sprawy kulturalne świata nie widziało poza Berlinem i Wiedniem.

II.

Ogólne rozważania na temat charakteru narodowego, psychologii kultur narodowych, pozyskały zasłużenie sławę — dla przesady w uogólnieniach, stronniczości i powierzchowności. Należy zresztą stwierdzić, iż przy pewnym antagonistycznym stanowisku Boy kulturę niemiecką znał dobrze. Przez odrębną niemiecką przeszłość jak większość współczesnej młodzieży inteligentnej. Boy zwalczał nie tyle kulturę niemiecką, jako taką, ile wpływy niemieckie na umysłowość polską, co łączyło się u niego z romantycznymi prądami. Zresztą charakterystyki natury ogólnej robione są przezeń raczej ostrożnie.

W krytyce pojęcia niemieckiej głębi, z którą Boy miał okazję użerać się w swej praktyce recenzentkiej, nie chodziło przecież o pisarzy takich jak Sztyler czy Goethe, ale o to, że średni autor niemiecki przychodził do nas z marką „głębokiego”. Ta „głębia z urzędu” niemieckich autorów, oparta na dwuznacznościach, na niejasnościach, fascynowała ludzi, dla których tej samej klasy autor francuski, przez konkretność wykładu odsłaniający swą średniość uchodził za płytkiego.

W każdej kulturze narodowej występują elementy różnorodne, często sprzeczne. To też czynniki pozwalające na pewne uogólnienia występują nie tylko i nie tyle w inklinacjach umysłowych tych czy innych pisarzy, ile w zespole cech przeważających w rozwoju historycznym danego społeczeństwa.

Do szerzej pojętej charakterystyki kultury, urobionej historycznie umysłowości niemieckiej dają materiał, nieprześcignione w swej trafności, uwagi Marksa na temat partykularyzmu niemieckiego, wiekowego rozdrobnienia kraju, i wynikającego stąd osobliwego niedorozwoju pod względem państwowym tego hyperpaństwowego skądinąd narodu. Ta sprzeczność pozorna wyjaśnia się w partykularyzmie, dzięki któremu Niemcy nie potrafili nigdy przeprowadzić do końca żadnego przewrotu społecznego, nawet gdy istniały po temu wszystkie przesłanki. Widzimy to w przebiegu reformacji — ruch zapoczątkowany w Niemczech, gdzie włożono weń kolosalny wysiłek, w konsekwencji obrócił się przeciw Niemcom. Korzyści polityczne i społeczne z reformacji zdobyły Anglia, Holandia i Szwecja — gdzie wyciągnięto wszystkie konsekwencje tego ruchu. Niemcy wpadły zaś w cykl wojenny, zakończony śmiertelnym, niszczącym wirum wojny trzydziestoletniej. W wyniku reformacji powstała szachownica wyznaniowa, która przerodziła się w szachownicę trzystu państw, robiących z Niemiec na dwa stulecia obiekt polityki międzynarodowej. W Anglii, Francji tradycje historyczne państwa, potrafiły dać wyraz skończony, najbardziej niszczącym i krwawym przewrotom rewolucyjnym stwarzając ujęcie nowym siłom społecznym. W Niemczech każde działanie rewolucyjne znajdowało odpowiednio silne przeciwdziałanie. Stąd wewnętrzny impas, który uwidocznił się również silnie w okresie reformacji, jak i w okresie rewolucji mieszczańskie końca 18-go i 19-go wieku.

Z drugiej strony Niemcy pozostały krajem niezmiernie intensywnego ruchu umysłowego i kulturalnego, oddziaływającego na inne kraje. To wytworzyło charakterystyczne dysproporcje między myśleniem a działaniem. Jakkolwiek będziemy oceniali autonomię myśli badawczej, filozoficznej, to przecie jej związek z życiem społecznym i państwowym nie ulega wątpliwości. Wielcy filozofowie systematycy byli przecież na swoje czasy nie tylko badaczami praw myślenia, ale socjologami, ich prace miały bezpośredni związek z politycznym kształtowaniem się społeczeństwa. W dziejach myśli filozoficznej Francji i Anglii widzimy przy wszystkich odrębnościach specjalny praktyczny sens nadawany procesom umysłowym tych krajów. W Niemczech wielki ruch umysłowy, poezja, filozofia, nie znajdowały silnej osi politycznej, jaką dawało państwo w Anglii i we Francji. Tam wielkim systemem myślowym odpowiadały wielkie linie polityki państwa — w Niemczech wielkie systemy myślowe zjawiały się i znikły wśród nieprzebranego gąszczy partykularyzmu, setek drobnych despotji nie mających ani chęci ani siły do ujęć generalnych. Wyniosły abstrakcjonizm klasycznej myśli niemieckiej, jej hermetyczność, owa mglista głębia, imponowała zwłaszcza intelektualistom „młodych” cywilizacyjnie krajów, dla których myśliciele angielscy czy francuscy grzeszyli suchością, nadmierną praktycznością. Nie rozumiano, iż ta głębia często stanowi odpowiednik dwuznaczności.

W istocie blask niezależności myśli niemieckiej był złudny. Łączył się on z tym specyficznym „pańszczyźniactwem” — uzależnieniem społeczeństwa od władcy, o którym pisze Marks. Odmienne tu było działanie państwa politycznego. Francja wieku 17-go i 18-go pozostawała pod władaniem wielkiego despoty, którego samo istnienie dla olbrzymiej większości poddanych jego prowincji stanowiło pewną abstrakcję. Setki pomazanych niemieckich, ze swą nieograniczoną władzą i wszechwładztwem absolutyzmu tresowało swoich poddanych władając również nad życiem kulturalnym w sposób bardziej drobniawczy i ścisły niż najbardziej polityczne rządy francuskie. Z tą oczywiście różnicą, że działanie nazywało się tu i kończyło w jakiejś średniej skali, przy czym element tresury uwydatniał się tym potężniej, stawał się celem w sobie.

Konsekwencje owego partykularyzmu widzimy nawet w dziejach niemieckiego języka literackiego. W innych krajach narodowy język literacki wyłaniał się z rywalizacji dialektów prowincjonalnych drogą zwycięstwa jednego z nich (przeważnie dialektu stołecznego). Na to niemieckie stosunki nie pozwalały, dialekty miejscowe okazywały jednaką siłę i odporność. Niemiecki język literacki zrodził się więc z potrzeb i praktyki kancelarii książęcych — stanowiąc wykwit abstrakcjonalizmu biurokratycznego, instrument specyficznej techniki władania i wykrętnej dyplomatyki urzędowej.

Brak wielkiej skali w życiu państwowym wytworzył trwałe poczucie upodlenia. Gdy Anglia i Francja zdobywały w ciągu setek lat rywalizacji wielkie imperia kolonialne, niemieckiemu mieszczechowi pozostaje tłumiona zawziętość, poczucie własnej niższości i małości. Bo jednocześnie w najbardziej nawet politycznie sprzyjających momentach mieszczaństwo niemieckie nie potrafi zdobyć się na przezwyciężenie małości partykularystycznej. Jak w okresie reformacji, tak i podczas wojen rewolucji francuskiej Niemcy zbierają przede wszystkim klęski i poniżenia.

W ciągu setek lat kraje niemieckie stały się jakby zbiorem wszystkich negatywizmów, wszystkich kwasów, wszystkich oporów, jakie wytwarzają dzieje Europy Zachodniej. Parafrazując znane powiedzenie Dostojewskiego o współczesnej mu Rosji można by powiedzieć z daleko większą słusnością, iż Niemcy są odwrotną stroną tej Europy Zachodniej.

Te wszystkie kwasy, opory, negacje historyczne ujawniły się z siłą żywiołową w prądzie romantycznym. Niemcy, które zresztą z łaski swych władców poniosły wielką część kosztów walki z rewolucją francuską, raz jeszcze przeżyły wielkie i wielostronne rozczarowania historyczne. Romantyzm niemiecki rozczarowania te wyrażał najpełniej — odwrót od przykrej współczesności przedysponował nieudolność do opanowania sił historycznych — od fałszywych ideałów rokoka przeszło się do uwielbienia dekoracyjnej surowizny średniowiecza tak bogatego skądinąd w Niemczech. Tendencje głównego prądu romantycznego znalazły zrozumienie w rozczarowanych żywiołach innych krajów.

Romantyzm literacki i analogiczne tendencje filozofii idealistycznej poprzedziły zjednoczenie Niemiec, co uczyniło je największą siłą militarną Europy. Wkrótce Niemcy miały wystąpić jako konkurent nie tylko polityczny i wojenny Francji, ale i jako pretendent do przewodnictwa kulturalnego po Francji pokonanej i usuniętej na drugi plan. Zjednoczenie, które dało Niemcom potęgę rosnącą ciągle, gospodarczą, techniczną i naukową, dokonało się w Niemczech sposobem dość mechanicznym przez podbój pruski. Ale to zjednoczenie przyszło późno i nie towarzyszyło istotnemu procesowi konsolidacyjnemu sił społecznych. Gdy Bismarck z dumą oświadczał w Reichstagu, że Niemcy nie miały w swych dziejach cesarstwa — powiedział to zaiste w złą godzinę. Nie wiele czasu historyczne biorąc dzieliło od narodzin nowego cesarza, któremu przeznaczone było dać wyraz wszystkim negatywizmom historycznym i cywilizacyjnemu kraju. Ale już w czasach Bismarcka działał człowiek, którego przyszły cesarstwo miał za swego proroka, w osobie Fryderyka Nietzschego.

Nie można oczywiście sprowadzać Nietzschego i jego filozofii (podobnie jak zresztą Wagnera) do roli poprzednika hitleryzmu, co się próbuje robić obecnie. Nie podretuszowany Nietzsche dla ideologów wielkogermanizmu bywa dość kłopotliwy — filozof ten wypowiada wszystkie negatywizmy wewnętrzne kraju w sposób mało osłonięty. Zresztą w Nietzschem znaleźć można wszystkie niezbędne sprzeczności — wyrafinowany intelektualizm, estetyzm i odświeżające smaczki barbarzyństwa, imperializm i jego wyszydzenie, arystokracja

tyzm i demagogię, brutalność w ultra-estetycznych formach i nutki sentymentalizmu. Stanowiąc produkt mocno schyłkowy, filozofia Nietzschego schyłkowość owa wypowiada w sposób tak gwałtowny, że może ludzi co do swojej istoty. Wypowiada się tu cała jałowa burzliwość mieszczaństwa niemieckiego, jego pretensje i jego głęboka, schyłkowość duchowa, która się wyraziła w upadku założeń wolnościowej rewolucji mieszczańskiej i otwarciu drogi pruskiemu junkierstwu, jako głównej sile porządkującej kraju. Nietzsche ze swym pomieszaniem arystokratyzmu z demagogią dawał istotny wyraz przesadom mieszczaństwa, tym głębszy, że ukryty pod rzekomą dla nich wzdargą.

Z krachu wewnętrznego rewolucji mieszczańskiej 19-go wieku wynikało przecież zjawisko o wiele potężniejsze w skutkach niż wewnętrzne zbuntowanie mieszczaństwa — socjalizm naukowy, rozwinięty przez Marksa i Engelsa, który dał początek potężnemu światowemu ruchowi klasowemu proletariatu. Niemcy na przełomie 19-go i 20-go stulecia z potężnym wzrostem klasowym, organizacji proletariatu przejściowo wydawały się przyszłym krajem — pionierem socjalizmu światowego.

Ale Niemcom sędzone było powtórzenie tego samego, co się stało przed kilku stuleciami. Wówczas ruch reformacji religijnej powstały w Niemczech znalazł istotne rozszerzenie się poza Niemcami. Co niegdyś z Lutrem i Melanchtonem, w naszych czasach odbyło się z Marksem i Engelsem. Idee ich, wszczęty przez nich ruch znalazły wyraz poza granicami Niemiec. Rewolucja socjalna proletariatu, którą oni przewidzieli, dała jej teorię, zrealizowała się w Rosji. Rozwój ducha rewolucyjnego w Niemczech znalazł przeszkodę wewnętrzną w głębokim zmieszczaniu sporych warstw proletariatu. Rewolucja spotkała silniejszą od niej reakcję.

W samych Niemczech Nietzsche miał zwyciężyć Marksa — historyczny negatywizm niemiecki obrócił olbrzymie zasoby materialne i kulturalne kraju na iście romantyczne wyprawy zdobywcze, które miały jednym zamachem nadrobić wszystkie okazje „zaniedbane” w ciągu dotychczasowej historii. Dwukrotnie w ciągu życia jednego pokolenia przeciwstawiło to Niemcom oraz ich najbliższemu satelitom cały świat niemal i zgótowało kłeskę równie kolosalną, jak ich zamierzenia. Historyczna zdrada idei postępu światowego była zarazem przecież zdradą własnych, najbardziej przewidujących myślicieli, jakich wydały Niemcy kiedykolwiek.

Oczywiście, absurdem byłoby uzależniać rozwój romantyzmu polskiego, hegemonii jego idei w życiu polskim jako wyniku wpływów intelektualnych zagranicy. Mieliśmy we własnej historii dość przyczyn. Tak się złożyło, iż na wielkich drogach postępu europejskiego nie zawsze zbieraliśmy korzyści. Ruch reformacji religijnej — niewątpliwie odrodzenie pod względem kulturalnym — podniesiony przez szlachę, został wykorzystany w celach osłabienia państwa, europejski schyłek wojen religijnych u nas wyraził się ruiną i upadkiem czasów „Potopu”. Prąd oświecenia nie zrealizował pokładanych w nim nadziei — reformy przeprowadzone w sposób bezsilny i niekonsekwentny zbiegły się z upadkiem państwowości polskiej — raczej go w oczach współczesnych przyspieszając. Napoleoński epilog wojenny rewolucji francuskiej przyniósł krajowi zmiany nie wielkie, sporo guzów, ruin oraz spóźnioną mądrość wątpliwych doświadczeń. Pogłębiły to kłeska powstania 1830 r. i dalszy okres powstańczy. Przy słabym stosunkowo trzonie politycznym kraju postępowy radykalizm

polityczny u nas przez dziesięciolecie trzymał się jednak na frankofilistwie skojarzonym w sposób dość kontrastowy z konserwatywnym myśleniem w sprawach wewnętrznych i światowych.

Nie będę tu rozpatrywał wszystkich przesłanek owej historycznej recydywy romantyzmu, która pod koniec 19-go wieku niemal pochłonięła i zniweczyła skutki okresu pozytywistycznego. Kontynuacja istotnie postępowych tendencji tego okresu, oczyszczonych od mieszczańskiego ograniczenia klasowego, przypadła polskiemu ruchowi marksistowskiemu. Boy stał od niego z dala. W ograniczonej perspektywie czasu nowe fale przypływu prądów romantycznych łączyły się z nowym, nasileniem wpływów kulturalnych i artystycznych niemieckich, choćby urozmaiconych skandynawskimi wariantami. Zdarzają się przecież uproszczenia nader płodne w skutkach.

III.

Nie można powiedzieć, iż Boy rozpoczął działalność przekładową z gotowym programem. Pierwszy przekład pełnego zbioru komedii Moliera ukazał się z komentarzem obcym. Następne jednak wstępy i komentarze pisze sam tłumacz, uwydatniając w nich pewne stałe myśli przewodnie. Rzeczy te początkowo wydane w trytomowym zbiorze pod tytułem „Mózg i pleć” wykazywały niewątpliwie pewne stałe motywy nadające działalności przekładowej pisarza jednolite piętno systemu, zwracającego się przeciwko zasadniczemu tendencjom literatury swego czasu, zmierzającego do zmian o charakterze generalnym dla kultury.

Boy zaczął podkreślać, że nie przekłada tych czy innych pisarzy odpowiadających jego gustom, ale tworzy „Bibliotekę Boya” wyrażającą określoną koncepcję literacko-kulturalną. Literatura i kultura polska formowały się w 19-tym wieku pod znakiem przewagi prądów romantycznych — to pociągało za sobą cały szereg konsekwencji, wcho- dzilo głęboko w istotę tworzenia form kulturalnych. Najwięksi przedstawiciele poezji naszej głosili przecież pogardę dla rozumu, nienawidzili do metod racjonalistycznych i naukowych — następne recydywy prądów mistycyzmu utrwały to jako pewnego rodzaju osobliwość narodową. Iście końskie dawki irracjonalizmu, pochłanianie przez społeczeństwo wytwarzały ten osobliwy obraz kultury polskiej, który na schyłku „Młodej Polski” niepokoił, przecież nie tylko Boya.

Irracjonalizmowi towarzyszy specyficzna niechęć dla pierwiastka konstrukcyjnego — rozwichrzenie, rozlewność prowadziły do specjalnego stosunku do zagadnień formalnych. Nieuchwytność wątku, rozlewność, akonkretność stawiały się wprost przykazaniami literackimi czasu. Kultowi „żywiołowości” odpowiadało przeciwstawianie się czynnikom świadomości i planu rozwojowego. To było powszechne u inteligencji owego czasu. Boy dążył tu do wprowadzenia korektur zasadniczych w tak formowaną umysłowość kraju, w kierunku racjonalistycznym. Na podstawie klasycznej produkcji francuskiej, Boy dążył do stworzenia w kulturze polskiej pewnej konstrukcji wzorcowej, która by trwała ponad wpływami bieżących mód i kierunków.

Zamysł tak rozległy nie mógł dojść do skutku bez pewnej jednostronności, czy skrajności w njęciu. Z biegiem czasu narastające komentarze i wstępy złożyły się może nie na historię literatury w ścisłym znaczeniu, ale na obraz rzucony z równą sugestywnością co siłą przekonania, posiadający trwałe znaczenie wychowawcze.

Jednostronność wynikała w znacznej mierze stąd, że Boy traktował swą działalność jako wypieranie wpływów niemieckich. Otóż dość powszechnie wówczas panował pogląd, że Niemcy, młode rosnące mocarstwo, są zdrowe,

pełne krzepy, a Francja, może bardziej pociągająca — schyłkowa i, co tu gadać, zgnila. Stąd ostentacyjne podkreślanie krzepkości, wigoru tradycyjnego literatury francuskiej. Trzeba zresztą podkreślić, że Boy nie wpada pod tym względem w zaślepienie — charakter schyłkowy niektórych przejawów nowoczesnej literatury francuskiej był dlań jasny i komentując te zjawiska nazywał rzeczy po imieniu. Niejeden z jego przeciwników, zarzucających mu jednostronność i zacietrzewienie w charakterystyce umysłowości francuskiej, z objawów schyłku niewątpliwego wywodził właśnie pierwiastki zdrowia i odrodzenia.

Boy traktował swoje dzieło przekładowe w pierwszym rzędzie jako szkołę racjonalizmu i konstrukcyjności myślowej i artystycznej, a więc pierwiastków których czytelnik w literaturze własnej, w takim natężeniu, nie znalazł. Jeśli nie wszystko w programie „Biblioteki Boya” można dziś przyjąć, zaakceptować, to jednak i zamysł dzieła i wykonanie czynią z niej jeden z najwydatniejszych faktów kulturalnych epoki.

Zresztą sukcesowi „Biblioteki” sprzyjały wydarzenia polityczne, natury tak zewnętrznej jak i wewnętrznej. Z wojny 1914 — 1918 r. Francja wyszła zwycięsko, zaprzeczając ponurym prognozykom upadku. Przewrót polityczno-społeczny, jakim było zjawienie się państwowości polskiej w roku 1918, wysunął żywioły, czerpiące siłę i korzyści z nowego stanu rzeczy. Taka „Komedia ludzka” Balzaka, ukazująca się w dobie znamiennej przełomu miała u nas specjalny wydźwięk po r. 1918. Niewątpliwie ten obraz społeczeństwa francuskiego pierwszej połowy 19-go wieku w swej jednostronności — dzieje walk, karier, zdobywania majątku, pieniądza — odpowiadał nastrojom części ówczesnej inteligencji. Wielki epos mieszczański, na który w literaturze rodzimej nie znalazło się miejsca, przyszedł spóźniony i znajdował chętnego odbiorcę. Bohaterowie Stendhala, Balzaka, w tym okresie zdawali się, do czasu przynajmniej, bliżsi młodszemu zwłaszcza pokoleniu mieszczaństwa, niż bohaterowie Żeromskiego i Struga, obciążeni dziełami rozdarciami i rozterkami. Komentarze Boya z tego okresu stanowią ważny dokument czasu, z jego niewątpliwym choć złudnym w przejawach swych rozmachem, nadziejami i urojeńmi.

„Biblioteka” pochłonięła Boyowi w okresie najintensywniejszego jej wzrostu kilkanaście lat życia. Po roku 1919 ta intensywność zmalała, aczkolwiek Boy nie zaniechał przekładów, ale pracę prowadził w tempie słabszym w miarę przesuwania ciężaru zainteresowań w stronę działalności publicystycznej.

Andrzej Stawar

(Dalszy ciąg nastąpi).

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „K S I A Ż K A”

Wydawnictwa młodzieżowe

J. ALDRIDGE

Orzeł morsk i
zl. 200.—

H. GÓRSKA

Chłopcy z ulic miasta
zl. 70.—

K. GRAHAME

O czym szumią wierzby
zl. 260.—

H. LOFTING

Przygody dr. Dollittle
zl. 250.—

Z. ŻURAKOWSKA

Roman i dziewiętnastu
zl. 110.—

„K S I A Ż K A”

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „K S I A Ż K A”

AKTUALIA

Ilustrowany Kalendarz na rok 1947

„Poradnik Rolnika”

zl. 100.—

Plan trzyletni

Tekst i wielobarwne tablice

zl. 60.—

Ordynacja wyborcza

z komentarzami

zl. 100.—

Ordynacja wyborcza

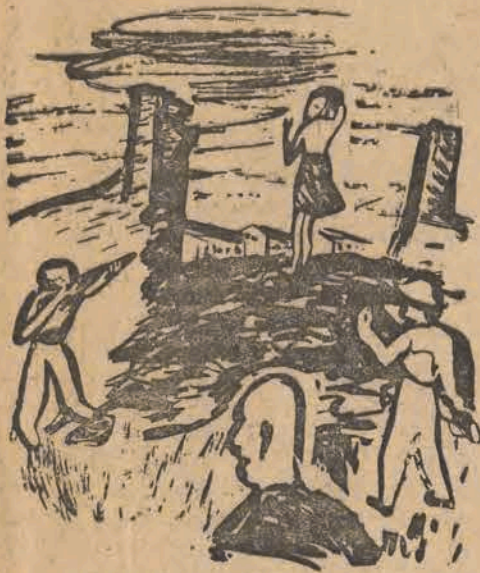
bez komentarzy

zl. 20.—

„K S I A Ż K A”

TADEUSZ BOROWSKI

B I T W A P O D



(dokończenie)

SPIACY u gruziego krawca muru żołnierz podniósł nieprzytomnie głowę i poderwał się. Schylił się, chwycił karabinek, którym mu się wysunął z pomiędzy kolan, przyłożył go do ramienia, przechylił głowę na okamgnienie na prawo i — dziewczyna obronnym ruchem podniosła ręce do gardła, jakby jej nagłe zabrakło powietrza. Postąpiła jeszcze krok poza krawędź nasypu i miętko osunęła się za nim, jakby poślizgnęła się na cegle; zniknęła za krawędzią, jak wrzucona w dół. Za nasypem, tam, gdzie był już obóz, podniosły się głosy, połączyły się w gwar, urosły w krzyk. Dwaj żołnierze, którzy śmiejąc się, wołali za dziewczyną, odrzucili niedopałki papierosa, przydeptali je nogą i pobiegli na nasyp. Rozespany żołnierz, ten, który strzelił, przewiesił karabinek lufą na dół przez ramie, podniósł z ziemi hełm, otrząpał go, włożył na głowę i pogwizdując beznamiętnie, pośpieszył również w stronę bramy.

Wolnym krokiem ruszyłem na usypisko, przeszedłem je na oczach wszystkich i zsunąłem się obok Niny.

Padając otarła o cegłę policzek. Na skurczonej, wilgotnej, nabiegłej świeża krewia wardze usiadła duża, niebieska mucha. Spłoszona cieniem, odleciała bzykając. Z pod wargi śliski martwo białe zęby. Wypukłe oczy zmetniały jak stężała galareta. Ręce, kurczowo zacisnięte w obronnym ruchu, leżały ciężko na kamieniach. Ostatni znak życia, ciepła o mdłym zapachu krew przesączała się szeroką plamą przez bluzkę, opinającą zbyt wydatną pierś i zasychała na brzegach jak rdza. Mały talizman o kształcie świstawki, przesunął się na szyi na bok, zaważał się parę razy na łańcuszku i zawisł nieruchomo. Usunąłem z pod głowy trupa ostry, niewygodny kawałek cegły, odgarnąłem delikatnie włosy, ułożyłem głowę na miękkim piasku wapiennym i podniósłszy się z kłęczek otrząpałem starannie spodnie z kurzu. Nade mną pociemniało od koła ludzkich twarzy skupionych i milczących. Z trudem przepchałem się lokciami przez niechętnie ustępujący tłum. Przepuścili mnie i jeszcze ciśniej skupili się nad ciałem.

Na podwórzu dymili się ognie pod porzuconymi garnkami i menażkami. Wiatr skrecał z chrzęstem dym jak słomę i wyrzucał go za mur. Zrzucone ze strychu deski na ogień bezszelustnie zsunęły się w powietrzu, zabielały na tle czarnych okien i upadły z przeraźliwym trzaskiem. Z ziemi podniósł się słup kurzu, powoli zwinął się nad ziemią i upadł. Z niezmierną oddali dochodził do mnie jednostajny, stłumiony szmer głosów jak zza ściany. Z pomiędzy bloków mieszkalnych, z ulicy, wysadzonej młodymi platanami, zza zakrętu garażu, z którego sterczały długie, okryte brezentami nosy armat, wyskoczył mały, śmieszny jeep, wypchany żołnierzami, prześlizgnął się między drzewami, prychnął olbrzymim kłębem dymu i kurzu, wparł się kołami w ziemię i przysiadł hamując ze zgrzytem.

— What's happened? Czemu ci ludzie tak krzyczą?

First Lieutenant pochylił się ku szoferowi. Ten wzruszył obojętnie ramionami. Spojrzałem zdziwiony na oficera. W otaczającej nas ciszy głos jego zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie jak darcie płót. Oficer, napotkawszy spojrzenie, zamrugał i ściągnął nieco wargi. — Wysunął z auta nogę i zakotłosał nią z wahaniem. Słońce zalsniło i rozkwitło w brązowym, wyglansowanym półbucku. Dwaj żołnierze z pistoletami maszynowymi na kolanach, rozpierali się na tylnym siedzeniu. Kierowca sięgnął do kieszeni, wydobyl paczkę papierosów, zerwał barwną opaskę, przechylił się do tyłu, częstując. Zapalili. Delikatny strumień niebieskiego dymu przepłynął koło twarzy i porwany wiatrem, znikł w powietrzu. Podeszedłem, nie spiesząc się, do auta.

— You speak English? — zapytał szybko First Lieutenant. Poruszył niezdeterminowaną szczęką, jakby rozpędzając się i naraz zaczął żuć.

— I do — kiwnąłem. Głos mój zahuczał w głowie jak w pustej sali, aż się wstrząsnąłem. Patrzyłem na oficera nie jak na człowieka, a jak na daleki, obojętny przedmiot.

Tłum zasłaniał szczerze trupa dziewczyny, ale odwrócił się od niego i patrzył, patrzył na żołnierzy. W uszach huczało mi jak w słuchawkach. Nagle ściana ludzi poruszyła się, odprysła.

— What's happened? — powtórzył nieco ostrzej Pierwszy Porucznik. Dotykał stopą ziemi. Zdawało się, że wyprysnie z auta. — Kto skrzywdził tych ludzi? Czemu oni tak krzyczą? Co się stało?

Żołnierz z karabinkiem, opuszczonym lufą, na dół, wyszedł z tłumu, a za nim przepychali się pozostali dwaj, którzy wtedy palili papierosy. Nim jednak ten, który siedział przodem, zdążył coś powiedzieć, zwróciłem się do oficera.

— Nothing, sir. Nic się nie stało — uspokoiłem go bagatelizującym ruchem ręki i uprzejmym poddaniem całego ciała. — Nic się nie stało. Zastrzeliliście przed chwilą dziewczynę z obozu.

Pierwszy Porucznik wyskoczył z auta jak zwolniona raptem sprężyna. — Twarz jego spłynęła przelotnie krwią i pobielala.

— My God — powiedział. Musiał mu nagle zasnąć w ustach, gdyż krzywiąc się, wypłul gumę. Różowa gładka zacierwieniła się w kurzu drogi. — My God! My God! — Chwycił się za głowę.

— My tu, w Europie, jesteście do tego przyzwyczajeni — odrzekłem obojętnie. — Przez sześć lat strzelali do nas Niemcy, teraz strzeliliście wy, co za różnica?

Przez niski kurz jak przez płytką rękę, nie oglądając się, ciężkim krokiem odszedłem wgląd koszar, do swoich książek, do swoich gratów, do swojej kolacji, którą już pewnie zafasowano. Cisza, jak napęczniały balonik, pękła z trzaskiem w uszach. Teraz dopiero uświadomiłem sobie, że nad ciałem dziewczyny tłum ciasno skupił się i patrzył w oczy żołnierzom, cały czas wrogo skandował:

— Ge-sta-po! Ge-sta-po! Ge-sta-po!

V.

Żołnierska sala leżała w gruzach. Na stolach i na podłodze rozbite skorupy porcelanowych misek bielały w gęstym mroku jak oskrobane z włókien, wyschłe kości. Ściągnięte z łóżek sienniki zwieszały się ku ziemi bezwładnie jakby były zabite. Z szaf, jak z otwartych, wypa proszonych brzuchów, wywalały się szmaty i stłamszone leżały na ziemi. — Pod nogami szeleściły zwaly podarte, zduszonych książek. W powietrzu unosił się stęchły, piwniczny, trupi zapach, jakby te szmaty, sienniki, skorupy i książki, porozbijane i poszarpane, gnily i rozkładaly się dalej.

Siny kwadrat okna, otwartego w noc, rozkwitł jak olbrzymim kwiatem — czerną rakieta. Strzelano z wysokiej wieży koło bramy. Łagodne światło bezszelustnie spłynęło po oknie jak świeża krew. Cienie zachwiały się, zaważały jak rozkołysana woda i podniosły się do góry.

Korzystając ze światła, zajrzałem do szafy. Wygarnięto w niej wszystko, cokolwiek nadawało się do użytku, resztę zniszczono. Na dnie domacałem się w garnku ocalałych płatków kartoflanych. Zaszeleściły w palcach jak suche, pokruszone liście.

Rakietą spłynęła na bruk, podskoczyła kilkakrotnie, błysnęła silnie czerwienią i zgasła. Zrobiło się zupełnie ciemno. Podeszedłem do łóżka i pomacałem ręką. Palce przeszerzowały po szorstkim sienniku. Koca nie było. Ukradli. W głębi sali ktoś z jękiem poruszył się na łóżku. Przeleciał jakiś przenikliwy strzęp szeptu, stłumiony, urwany chichot rozplął się w nagłym chrzęście stomy. Umilkło.

— Cygan! Cygan, bracie, to ty! — zapytałem z ogromną ulgą. Ruszyłem się od szafy i czepiając się łóżek, brnąłem wgląd sali. Rozbite szkło zachrząsało pod nogami. — Cygan, jesteś — zatrzymałem się niepewnie i czekałem w napięciu.

— A gdzieżbyś był, jak mnie tak wszystko pierunisko boli? — zaczął w ciemności Cygan. Siennik znów zachrząsał niespokojnie. — Ten naród ludzki, co oni narobili! Żebym ja był tego nie dożył. Nie było nikogo, nikt po jedzenie nie poszedł...

— Nikt nie przyniósł kolacji! — krzyknąłem z rozpaczą. Poczulem nagły, przejmujący głód. Oparłem się o stół. Namacałem krzesło. Usiadłem. — Nie ma kolacji — powtórzyłem machinalnie. — A jutro transport i znowu jeść nie dadzą.

— Nie było nikogo, nikt nie pilnował — ciągnął płaczliwie Cygan, zachłystując się słowami jak płaczem. — Wpadli do sali, wszystko rozbili, rozkradli. Panie Tacku, żebyś pan widział, żebyś pan tylko widział, toby panu chyba serce pękło. Książki pana porozdzielali, pana Koli zabrali papierosy. Polak Polakowi. O, Boże miłosierny, zlituj się nad nami. I mnie buty wzięli. Ledwo garnitur wybronilem. Pod głową go miałem.

— Nie trzeba było surowego barana jeść, to byś dzisiaj także nakradł. Szykują się chłopaki na transport, nie dziwota, że kradną — rzekłem drwiąco. Ścisnąłem z żalu zęby i kopnąłem walający się pod nogami czerep miski. Potoczyła się z brzękiem po betonie.

— Szykują się, szykują się, żeby im tak w boku szykowało — zaklął Cygan, pochlipując. — A pan Redaktor przyszedł i książki z pana szafy także zabierał. Powiedział, że pan pewnie nie wróci, to szkoda zostawiać. Jemu się przydadzą, bo pojedzie do pana generała Andersa.

— Redaktor? Co mi zapytywał? Pojechał! Jednak pojechał! Beze mnie! — Uczulem znowu, że jestem głodny.

— A pan choraży siedzi w bunkrze i pan Kola siedzi w bunkrze — ciągnął monotonicznie Cygan. Czerwona rakietą znów rozjarzyła się na granatowym niebie, a obok niej wykwitły zielone, pomarańczowe i żółte i bukietem spłynęły na ziemię. Czarna twarz Cygana powlokła się jak ręką trupim, neonowym światłem i zapadła się w mrok. — A mówili, że pana chorażego i pana Kolę za karę do Polski odesła.

— Przecież Kolka chciał jechać do Włoch — zawołałem w zdumieniu. — No, to się w Polsce spotkają ze Stefanem. Już on ich zakapuje.

— A panu chorażemu szafkę rozbił, aparat fotograficzny zabrali i pieniądze. O, Boże, Boże... Mnie podłożyli...

— Nie kłam, nie kłam, parszywy Cyganie, bo ci znowu mordę nabiję... Samę pieniądze ukradł. Podpatrzyłeś jak tata chował — odezwał się z dołu syn chorażego. Łóżko zaskrzypiało z pasją.

— O, udało się panu wrócić? — ucieszyłem się uprzejmie. — Tatusz martwił się o pana.

— Niech się tata martwi o siebie, jak głupi bić się — burknął syn chorażego. — Ja tam sobie radę dam. Głupi nie będę i w transporty do Polski nie pojedę — dodał z lekceważeniem.

— Przywiózł pan co?

— Przywiózłem — odparł — ale nie barana. To lepsze od barana. Posłuchaj pan. — Pogmerał, a z ciemności wydobył się oburzony, kobiecy pisk. — Niemcę kupilem. Przeciagnąłem przez dziurę. Znajome kowboje na warcie stali.

— Ale pan ma szczęście — westchnąłem zazdrośnie.

— Pan by też mógł mieć, jakby pan pochodził. A pan tylko w książkach siedzi. Samo nie przyjdzie. Grunt, aby dziś.

— A jutro? Jak będzie transport?

— O jutrze będziemy jutro gadać — ostatnie słowo zachrypiało w ziewnięciu. — Chłopaki się nie dadzą.

— Tak pan myśli?

— Ale szykują się do obrony — zapewnił z przekonaniem. — Tam — machnął ręką w stronę rozświetlonego rakietami podwórza — Grunwald robią. Ale my jutro zrobimy lepszy. Ile chłopaki brauningów mają. A granatów, a karabinów, a rozpylaczy! Co pan myślisz, że tylko rakietnice na Grunwald? Jak ustawia ze dwa ckm na strychu, jak pluną... Co, okej nie uciekną?

Podniósł się na łóżku, jakby chciał wstać. Lecz tylko owinał kobietę kocem aż po czub jasnych, puszystych włosów, opadł z westchnieniem na łóżko i wsadził rękę pod koc.

Niebo grało wszystkimi kolorami. — Fontanna rakiet przepływała przez powietrze, opadała rozżarzonymi kropkami na dno ciemności, rozpryskiwała się na niebie. Czerwony dach koszar mienił się upiornie na tle nieruchomego nieba, które nabiegało raz po raz granatowym sokiem.

— Grunwald robią — rzekłem do syna chorażego. — Jutro mieli go powtarzać. Uważaj pan, żeby jej jutro nie znał, bo szkoda.

— O, wielkie zmartwienie — głos mu nieco drgał jakby w zadyszce. — A niech ją złapią. Będzie mi potrzebna, albo co? A może pójdę z nią do chłopaków i będziemy siedzieć na strychu. Tam są meliny, że ich diabeł nie znajdzie. Jak skończą akcje, to się wyjdzie i dobra, do następnego razu!

— Podobnie do Coburga transport ma iść — odezwał się Cygan. — Jak ja pojedę, kiedy ja taki chory? Może mnie nie wezmą? Pan umiesz po angielsku, to pan kowbojów poprosisz, panie Tacku?

Leżał odkryty i oddychał ciężko jak zdychające zwierzę. Wparł we mnie świecące odbiciem rakiet oczy. W czarnej, zapadłej twarzy błyszczały niesamowite, jakby nafosforzowane.

— Co ty sobie wyobrażasz, że będę się złodziejami zajmował? Szkoła, że ciebie nie udusiłem, jak jechaliśmy do Dachau, to byś nie miał kłopotu dzisiaj — rzekłem z pogardą. Syn chorażego zachichotał i pokręcił się na łóżku. — Sam muszę się schować przed transportem. Potem będzie łatwiej o jakąś funkcję w obozie, prowiantowego albo sekretarza

EWA KORZENIEWSKA

KOBIECE RELACJE OBOZOWE*)

Był okres, kiedy nawet w realistycznych powieściach uchodziło za nietakt, jeśli nie za nieprzyzwoitość wymienianie nazwisk autentycznych. Autor przedstawiając osobę rzeczywistą nadawał jej pseudonim i często „dla zmylenia tropu” dorzucał rysy nieprawdziwe. Świat fikcji powieściowej, czerpiąc z rzeczywistości, miał wyraźnie określoną granicę praw i obowiązków i przed nią musiał się zatrzymać w imię szacunku dla życia i dla powieści. Fakty i wydarzenia prawdziwe, „bez maski” podawała historia, opisywała kronika lub pamiętnik.

Obecnie jesteśmy świadkami tworzenia się nowego typu utworów, które nie są ani reportażem, ani pamiętnikiem, ani powieścią w klasycznym rozumieniu rodzaju. Tak zwane „autentyki” powieściowe nie mieszczą się w żadnym z uznanych rodzajów literackich. Czy tworzą rodzaj osobny, czy zyskują prawo obywatelstwa w dziedzinie literatury pięknej zależy będzie od talentu autorów i trwałości zjawiska. Teraz jasna i uzasadniona jest przyczyna pojawienia się twórczości o tym charakterze — natomiast nie wiadomo, czy wywołuje ją tylko siła i groza przeżyć wojennych, czy też jest ona jedną z właściwych naszej epoki form wypowiedzi i kształtowania artystycznego. Na te wątpliwości odpowie historia, która dopiero będzie mogła ustalić cechy rodzaju i wskazać na jego odrębność. Obecnie natomiast świadkowie bogatej produkcji „autentyków” mogą tylko skromnie i z rezerwą próbować analizy i różnicowania.

Jako oczywista cecha wyróżniająca tych utworów przyjmuje się ich prawdziwość w sensie osobistego przeżycia. To zdaje się nie podlegać żadnym wątpliwościom. Nie stano-

wiać kryterium naukowego jest dostatecznie oczywiste, aby nie budzić zastrzeżeń. Natomiast jest za ogólne, aby dostatecznie scharakteryzować jakikolwiek utwór, gdyż w ramach tego pojęcia mieszczą się dzieła bardzo różne i kształtem artystycznym i sposobem ujmowania problemu i wreszcie stosunkiem autora do tematu.

Różnice te są tak znaczne, że nawet tytułom nadają swoisty kształt. W kobiecych opowieściach obozowych „Dymy nad Birkenau” przemawiają plastyka metafory. Symbolizm tytułu „Z otchłani” narzuca wizję katolickiego ujmowania zjawisk. Krystyna Żywulska tytułem „Przeżyłam Oświęcim” wyjaśnia czytelnikowi, że pisze pamiętnik, a opowiadanie Dobaczewskiej „Kobiety z Ravensbrück” będzie rościło sobie prawo do sprawozdawczo ściśle opisowości. Już poprzez tytuł przebiegają zamierzenia autorki. Te zamierzenia, które pozornie wyglądają na identyczne. Oczywiście, że każda z książek chce jaknajdonioślej glosem dać świadectwo straszliwej prawdzie. Ale obok tego Żywulska odczuwa wewnętrzną potrzebę wypowiedzi i zrzucenia z siebie grozy rzeczy widzialnych i przeżytych, a Zofia Kossak traktuje swą pracę jako ciężki i przykry obowiązek — „Bóg po to pozwolił niektórym ludziom oglądać piekło za życia i wrócić, by dali świadectwo prawdzie”. — Dlatego autorka musi napisać, a czytelnik, choć będzie to dla niego równie ciężkie, musi przeczytać. Jasne jest, że wobec tego autorka niczego nie przedsięwzięła, aby czytelnikowi to zadanie umilić, że w takim ujęciu wszelkie środki kształtowania artystycznego, są zupełnie zbędne. Sugestia prawdy — a nie sugestia sztuki, tak jakby w literaturze te sprawy nie były jaknajściślej ze sobą związane. Rozumie to dobrze Szmagłewska,

której książka przemawiająca plastycznym obrazem zbiorowości narzuca groźną wizję Birkenau w sposób najwymowniejszy. I w sposób budzący więcej refleksji, niż rozważania Zofii Kossak na tematy metafizyczne — „Czy posłuszny woli szatana żołnierz niemiecki prowadzący płaczące dziecko na spałenie żywcem... był świadomym satanistą?” zapytuje autorka, osłabiając tym siłę opisu tragicznych wydarzeń. „Gdy zły człowiek morduje dziecko, aniołowie w niebie płaczą. Nie nad dzieckiem o nie, ale nad mordercą” — twierdzi z całą pewnością Szczucka. Czytelnik i Szmagłewska płacze nad dzieckiem, bo autorka widzi i umie przedstawić konkretne szczegóły zbrodni, bo nie definiując ich sensu metafizycznego, przemawia za pomocą obrazu, a nie refleksji. W takich wypadkach artysta służy sprawiedliwości społecznej, a refleksja ją wypacza, gdyż nakazuje litować się nad sadytą dopuszczającym się najstraszliwszych zbrodni.

Pomiędzy plastyką opisu Szmagłewskiej, a dydaktyczną refleksją Zofii Kossak jest miejsce na sprawozdawczy styl Wandy Dobaczewskiej. Autorka „Kobiet z Ravensbrück” sędzi, że wierność szczegółów i dokładność opisu jest sprawą najbardziej zasadniczą. Dlatego — jako, że cel uświęca środki — nie boi się powtórzeń i monotoni. Większość rozdziałów pomimo sugestywności literackich tytułów stanowi suchy opis trybu życia i organizacji obozu, przy czym prawie każdy rozdział obejmuje ten sam okres czasu. Autorka omawia kolejno rozmaite zagadnienia. Taki tematyczny układ materiału istotnie wyczerpuje w ramach rozdziału lub dwóch dany problem i podkreśla wielokrotnie różnice pomiędzy początkowym żelaznym systemem kar — a końcowym rozluźnieniem dyscypliny obozowej, ale równocześnie prowadzi do dużej jednolitości.

Dlatego, jak pisał wiersz, „to — to — to” — to znaczy już w założeniu, że tak twierdzi autorka, które w ten sposób już w założeniu popełnia błąd, jak pisarki, bo słowo może być najmocniejszym wyrazem prawdy, czego dowodem są największe arcydzieła literatury.

Szmagłewska zachowuje surowy obiektywizm — nie mówi nic o sobie, swoich myślach i przeżyciach. Za nią przemawia plastyczny obraz, słowo jako element artystyczny i przemyślane celowość kompozycji. Żywulska opowiada w formie osobistych wyznań, które stają się ważne i charakterystyczne przez swoją typowość. Jako bystra i żywo czująca obserwatorka w sposób młodzieńczy, ale uczciwy i wyrazisty przedstawia grozę Oświęcimia. Mierzy wydarzenia miarą czującego moralnie człowieka i dlatego książka jej przemawia raczej do uczuć niż intelektu czytelnika. Żywulska najbardziej indywidualizuje opisy, przedstawia poszczególne postacie, zajmuje się sprawami czasem drobnymi, ale właśnie ważnymi dla młodych hitlerowców. Codzienna prawda życia przemawia poprzez szukanie uśmiechu wbrew i na przekór warunkom obozowym, poprzez pragnienie miłości mimo niedzi, chorób i głodu.

„Z otchłani” Zofii Kossak odbiega najdalej od formy powieści. Autorka pisze coś w rodzaju rozprawki o charakterze psychologiczno naukowym, a celu wychowawczym i sama mówi o tym wyraźnie — „Męka milionów niewinnych istot, ich spowinowacenie, straszliwe agonie, muszą wydać plon, który przeżyte cierpienie usprawiedliwi, uczyni aktem celowym i twórczym”. Wedle autorki istnienie obozu oświęcimskiego zyska głębokie znaczenie i usprawiedliwienie wówczas, skoro „nowe systemy nauczania — przywrócić życiu jego właściwy Boży sens”. Aby przyspieszyć tę chwilę, Szczucka pisze swą książkę, która w metafizycznych perspektywach ujmie i interpretuje przeżycia obozowe. Rozpowszechnionemu mniemaniu, iż Oświęcim był typowym „Vernichtungslager” autorka przeciwstawia opinię, że system katorżniczy był perfidną konsekwentnie przemyślaną metodą wychowawczą, mającą na celu unicestwienie godności ludzkiej i deprawację moralną. Dlatego zwalczano skromność i wstydlivość kobiecą, dlatego ograniczano do minimum korzystanie z urządzeń higienicznych, dlatego bito i wymyślano najwulgarniejszymi słowami. Celem tak pomyślanego systemu wychowawczego było wytworzenie „muzumantów”, istot zubożniętych na wszystko poza jedzeniem i odpoczynkiem.

Interpretacja psychologiczna Zofii Kossak wyodrębnia wyraźnie dwa typy ludzkie — głęboko wierzących katolików, którzy umiemy w obozie żyć i umierać i nieszczęśliwych ateistów, skazanych na straszliwą beznadziejność. Ci pierwsi wiedzą dlaczego cierpią: rozumieją, że „Bóg... stosuje odpowiedzialność

zbiorową za... przesadną pielęgnację ciała... za malowane paznokcie u rąk i nóg... za materializm, życie ułatwione, obojętność na niedole innych”. Ci umieją rzucić parę łopat wilgotnego śniegu skazanym na śmierć Żydom — bo — „Akt ten jednak był konieczny dla uspokojenia samych siebie... Ryzyko ponosiło się więcej dla własnego sumienia niż dla skazanych... Dla hitlerzów przyjmujących łagier jako dopust boży... wszelkie wysiłki i niebezpieczeństwa konspiracyjne stawały się dziecinną zabawą, bo tu dopiero staczał on bój o najwyższe dobro — o duszę własną. Nie było wrogów występował bowiem przeciw umęczonemu, osłabłemu człowiekowi... Szatan korzystając z udzielonego mu zezwolenia działał nieomal widomie. Z nim to, paniem lagru, trzeba było się borykać”. Cytaty te chyba nie wymagają komentarzy.

Pozorny obiektywizm autorki, który wprawdzie pomija osobiste przeżycia i wrażenia, okazuje się tylko niepokojącym wyrazem, uprawianej przez nią tendencyjność i szlachetne ideały chrześcijaństwa, zostają zwulgaryzowane i przeradzają się miejscami nieomal w bigoterię, która więcej dba o zbawienie duszy, niż dobro bliźniego, która wierzy, że ziemia wyrzuca ciała samobójcy lub zbrodniarza, która wreszcie chce doszukać się sensu i celowości w kaźni Oświęcimia. Taka wiara pomaga umierać — to jest niewątpliwe, ale jednocześnie deformuje wymiary zbrodni i kary i łatwo może prowadzić do zapomnienia i wybaczenia tego, czego nie mogą i nie powinni wybaczyć bracia, żony i dzieci ofiar oświęcimskich. Czego wybaczyć nie może i nie powinno społeczeństwo w poczuciu sprawiedliwości i troski o przyszłość.

Urszula z książki Szczuckiej, z beznamiętną czułością myśli nawet o wyrzniętej degeneratce Bubi, nawet o aużerze, tej co chodzi z równie złym jak ona psem... „na nysł o nieszczęściu potępionych Urszula, ona je dla nich trochę tak serdeczną, jak pociechunek składany przez świętych na odrzuciłach — w ramach trędowalych”. — „Współczucie dla przemoczonych mieszkających pleka — to jest istotnie nową i niespodziewany aspekt kaźni oświęcimskiej. Jesteśmy tu o krok od wdręczenia do niemieckich oprawców, którzy swymi metodami wydania nie dopomogli ofiarom do osiągnięcia wiekowej szczęśliwości.

Książka Szczuckiej usiłuje przekonać czytelnika zapomocą pozornie logicznych argumentów i fałszywego dydaktyzmu, który czasem jest jednym z elementów artystycznych, ale częściej wyraża się poprzez dość naiwne rozmowy wierzacej z niewierzącą, bądź też w formie apodyktycznych wypowiedzi samej autorki: — „Siła, która utrzymywała Polki w należytym postawie, była modlitwa, przycięci. Tego zaplecza o siłę nie wymierzonoj nie posiadały Rosjanki, Ukrainki Niemki, bez wyznaniowe Francuski... i dlatego Polki miały w lagrze opinię najodporniejszych duchowo”. Interpretując w ten sposób zjawiska, autorka zaciera i osłabia siłę przedstawianych faktów i grozę przeżyć.

Cztery książki kobiet o obozach koncentracyjnych zdają się wskazywać na kilka kierunków, w których może pójść rozwój „autentyków powieściowych”. Kierunek najprostszy wiedzie ku formie pamiętnika, która pozwala jawnie i prosto mówić — to przeżyłam, a tamto widziałam. Tutaj rozumienie i opis zjawisk nie podlega żadnej świadomej interpretacji. „Kobiety z Ravensbrück” Dobaczewskiej pomimo pozorów wspomnień osobistych (stałe użycie zaimek „my”) zmierzają ku obiektywizacji opisu, która jest nieodzownym warunkiem interpretacji filozoficznej lub psychologicznej. Charakterystycznym przykładem takiego ujęcia problemu choć w sposób — naszym zdaniem — bezwzględnie fałszywy jest książka Z. Kossak, traktująca opisywaną rzeczywistość według z góry powziętych kryteriów.

Szmagłewska natomiast traktuje przeżyte wydarzenia jako materiał dla interpretacji artystycznej. Mimo pewnych niedociągnięć plastyka obrazu i sugestywna siła prawdy, jaką osiąga pisarka, zdają się wskazywać na to, że jedynie ta droga może zapewnić literaturze powieściowej „autentyzm” trwałość i stworzyć jej wyraźne perspektywy rozwojowe.

Ewa Korzeniewska

*) Zofia Kossak „Z otchłani” Wyd. księg. Wł. Nagłowski, Częstochowa — Poznań, 1946 r.

Seweryna Szmagłewska „Dymy nad Birkenau” Spółdz. Wyd. „Czytelnik” 1946 r.

Krystyna Żywulska „Przeżyłam Oświęcim” Spółdz. Wyd. „Wiedza”, Warszawa, 1946 r.

Wanda Dobaczewska „Kobiety z Ravensbrück” Spółdz. Wyd. „Czytelnik” 1946 r.

Komisja Centralna Związków Zawodowych w Polsce

Ogłoszenie

I. KONKURS NA TWORY LITERACKIE.

nadające się do wykonania indywidualnego lub zbiorowego, przez artystyczne zespoły amatorskie, zorganizowane przy świetlicach, zakładach pracy, klubów fabrycznych i Dmoch Kultury Zw. Zawodowych.

Żądane, by utwory odzwierciedlały tendencje i dążenia klasy pracującej. Forma dowolna, w szczególności jedn. chodzi o:

- | | |
|--|---|
| 1. wiersze, | inscenizacji, recytacji indywidualnej i zbiorowej, |
| 2. utwory dramatyczne, | |
| 3. kompozycje o charakterze regionalnym, | 5. wiersze, nadające się do opracowań muzycznych itd. |
| 4. utwory literackie, nadające się do | |

Warunki konkursu:

Za najlepsze i zakwalifikowane utwory wyznacza się:

- | | |
|---|--|
| 1. dwie pierwsze nagrody po złotych 30 tysięcy, | 3. dwie trzecie nagrody po złotych 10 tysięcy, |
| 2. dwie drugie nagrody po złotych 20 tysięcy, | 4. za wyróżnione utwory sześć nagród po zł. 5 tysięcy oraz dwa naście nagród po zł. 3 tysiące. |

II. KONKURS NA TWORY MUZYCZNE.

nadające się do wykonania indywidualnego lub zbiorowego, instrumentalnego i wokalnego przez artystyczne zespoły antorskie, zorganizowane przy świetlicach, zakładach pracy, klubów fabrycznych i Dmoch Kultury Zw. Zawodowych. Forma i rodzaj utworów — dowolne. Żądane, by teksty literackie odzwierciedlały tendencje i dążenia klasy pracującej.

W szczególności chodzi o:

- | | |
|---|---|
| 1. utwory chóralne do wykonania a capella lub z akompaniamentem zespołu instrumentalnego na chóry żeńskie, męskie i mieszane, dwugłosowe, trzygłosowe lub czte. głosowe, a w szczególności trzygłosowe mieszane (sopran, alt i głos męski), | chowaniem charakteru regionalnego, |
| 2. łatwe utwory instrumentalne, mające zastosowanie dla zespołów świetlicowych, | 4. muzyczne opracowania utworów, nadających się do wykonania scenicznego, |
| 3. wokalne i instrumentalne opracowania utworów ludowych z zachowaniem charakteru regionalnego, | 5. pieśni do wykonania unisonowego z akompaniamentem fortepianu lub zespołu instrumentalnego, |
| | 6. pieśni unisonowe do wykonania a capella, |
| | 7. pieśni solowe z akompaniamentem fortepianu lub zespołu instrumentalnego (np. kwartet lub kwintet smyczkowy). |

Warunki konkursu:

- | | |
|---|--|
| 1. trzy pierwsze nagrody po złotych 25 tysięcy, | 3. trzy trzecie nagrody po złotych 10 tysięcy, |
| 2. trzy drugie nagrody po złotych 15 tysięcy, | 4. za wyróżnione utwory sześć nagród po zł. 5 tysięcy i sześć nagród po zł. 3 tysiące. |

Prace na konkurs literacki i muzyczny należy nadsyłać w nieprzekraczalnym terminie do dnia 1-go lutego 1947 r. do Komisji Centralnej Związków Zawodowych w Polsce — Warszawa, Al. Pryjaciół 9 — Komitet Główny Pierwszego Ogólnopolskiego Konkursu Zespołów Ochotniczych.

Prace konkursowe winny być nadsyłane w zalakowanych kopertach, przy czym wewnątrz winna znajdować się druga zalakowana koperta z właściwym nazwiskiem i adresem autora.

Wyniki konkursów zostaną opublikowane w dniu 1-go marca 1947 r.

Komitet Główny

STEFAN OTWINOWSKI

W K R A K O W I E

Ilustr. Olga Siemaszkowa

(List dziesiąty)

W Krakowie przyjął się zwyczaj, że po każdej teatralnej premierze literaci urządzają u siebie dyskusje nad sztuką. Taki parlament dyskusyjny cieszy się wielkim powodzeniem. Może także dlatego, że ma to już tutaj swoją tradycję. Ludzie walą drzwiami i oknami. Dosłownie. Zagórski, który miał zagagać zebranie z okazji pre-

ry. Problem etyczny z punktu widzenia ludzkiego jest więc ograniczony absolutnie...

Zawieyski jest niestety, zarażony katolicyzmem francuskim. „Dziś i Jutro” powinno nad nim ubolewać. Tak, napewno — ma rację p. Z. Jakimiak — w ślad za Mauriaciem Zawieyski może zabrać w jansanizm. Należy bać się o czystość jego doktryny. Jest na tej samej złej drodze, na której był Andrzejewski przed siedmioma laty. Ale droga ta nie zaprowadziła autora „Ładu serca” na bezdroża myślowe. Ani etyczne. Miejmy nadzieję, że i rozdroże Zawieyskiego nie będzie dla jego etyki społecznej zgubne. Widać to już zresztą teraz. Te partie dramatu, które dotyczą spraw społecznych, wśród zacofanej i samolubnej wsi są najlepsze. Ksiądz walczący śmiało z przesadami gminy, nauczający postępowego współzycia, miłosierdzia — to naprawdę pozycja nie tylko postać, na tle naszej ubogiej katolickiej literatury.

Ktoś z dowcipnych znajomych powiedział mi po premierze „Wielkanocy”, która odbyła się w tygodniu po premierze „Rozdroża”: „Zdaje mi się, że jesteś lepszym chrześcijaninem od Zawieyskiego — za to Zawieyski jest właściwie człowiekiem bardziej postępowym od ciebie”.

Także studentom w długich butach, którzy gwizdali źle — przez łyż. Dopiero w hallu chcieli pobić Żydów. Ale rzekomymi Żydami okazali się autor „Wielkanocy” i autor „Rozdroża miłości”. Ktoś pod czarnym kapeluszem i takimż paltem rozpoznał Zawieyskiego. Studenci przeprosili autorów i poszli z placem do domu.



miery „Orfeusza” Świrszczyńskiej, gdyby nie okno, nie dostałby się na salę. Taki był ścisk przed rozpoczęciem dyskusji. „Orfeusz” miał dobrą, łagodną prasę — ale frekwencję tylko łagodną. Sztuka posiada nurt łagodnie poetycki. Jeszcze jedna — raczej sentymentalna — interpretacja znanego mitu. „Orfeusz” pisany był przed wojną, już wtedy wyrobił Świrszczyńskiej nazwisko. Podało go słuchaczom radio. Teatry nie wpuszczały na scenę autorów debiutujących sztukami aż tak subtelnymi. Szkoda. Szkoda musimy nadrobić teraz. Dużo nas to kosztuje. Powoduje nieporozumienia, których nie byłoby — gdyby interpretacja mitów zgadzała się z czasem. Nikt z krytyków nie zauważył, że nad sztuką Świrszczyńskiej zaciążył przede wszystkim freudyzm. Okazało się, że pisaliśmy nie tylko powieści psychoanalityczne, ale i dramaty kompensujące oryginalnie. Ach, te kobiety — zawsze z nimi nieoczekiwany kłopot.

Sztuką wzbudzącą nieoczekiwany opór okazało się „Miasto w dolinie”. Priestley’a. Rozeszła się znowu plotka po Krakowie, że wielki pisarz angielski napisał tę sztukę na zamówienie Polewki. Rzeczywiście ten utwór ma smak komedii, jest trochę w polskim guście. Zauważył to tylko po protestach miłośników „Miasta w dolinie”. Priestley utrafił w mistycyzm katolicki, sztukę mógłby śmiało popierać kler krakowski. Publiczność nie znając sztuki bojkotowała ją na wszelki wypadek. Także dlatego, że TUR zapowiedział zmianę linii repertuarowej. Bo w ubiegłym roku teatr TUR-u był tylko dla potrzeb gustu najbardziej płaskiego...



Teatr się podnosi. Sztuka jest naprawdę warta wystawienia. Jest w niej żarliwy optymizm. I gdyby nie fałszywy dźwięk rzeczywistości mistycyzmu — byłaby spełniła rolę motoru. Motoru, zapalającego — nie tylko dyskusję, ale podniecającego czyn reformatorski.

„Miasto w dolinie” — to miasto przyszłości. Uporządkowane, zreformowane w myśl zasad sprawiedliwości społecznej. Wizja idealizująca możliwości człowieka, stosunków międzyludzkich. Autor sugeruje nam wiarę. Nie tylko — podnosząc na duchu nadzieję.



Na małej sali „Teatru Starego” odbyła się niedawno premiera sztuki Zawieyskiego „Rozdroże miłości”. Nie jest to sztuka ani optymistyczna, ani humanistyczna. Dramaturgicznie przypomina Ibsena, tematycznie „Kłatwę” Wyspiańskiego. Katolicyzm Zawieyskiego jest fatalistyczny. Wyzwolenie od grzechu odbywa się przez śmierć. Śmierć jest łaską. Łaską uwalniającą z siideł szatana, który w życiu nie porzuciłby swej ofia-



STRACIŁEM WIARĘ W WUJA...

Bardzo interesuje się Anglia i jej polityka, której jest organizowaniem akcji zbrojnej przeciw powstańcom greckim; angielska misja „specjalna”, która zajmuje się wykształceniem policji i żandarmerii greckiej, oraz angielska misja „ekonomiczna” pod dowództwem gen. Clarka, dająca do całkowitego opanowania gospodarki greckiej przez trusty angielskie. (France Nouvelle, nr 49, 26.X.46).

Co Theotokis, to nie Anders — wytłumaczyłem sobie — co prasa francuska, to nie nasza peeselowska. I sięgnąłem po „Chłopski Sztandar”, aby znaleźć w nim angielsko-polskie czterdziści cztery, o którym mówił wujek. Pisało tam:

„Do najbardziej ciekawych wydarzeń w świecie politycznym musimy zaliczyć wizytę d-ra Schumachera w Londynie. Ciekawym jest, że w wypowiedzi prasy na temat tej „nie-19 miliardów rubli. Już w bieżącym roku oficjalnej” wizyty znanego nam z antypol-skiej w wystąpieniu w sprawie naszych granic zachodnich dr. Schumachera... Liberalny w ostatnim roku przed wojną.

„Manchester Guardian” pisząc o entuzjastycznym przyjęciu Niemców, podaje: „Sam dr. Schumacher wydał się nieco zdumiony głosem, który w roku 1940. Najbardziej powiększone nym i radosnym powitaniem go przez 700 studentów, z których większość jeszcze rol-temu służyła w armii brytyjskiej”. Wizytę Schumachera, przyjmowanego radośnie przez studentów w Cambridge, fetowanego oficjalnymi obiadami, Schumachera, który prowadził wywiady z dziennikarzami, odbywał konferencje prasowe, naradzał się z ministrami angielskimi, zaniepokoiła opinia całego świata demokratycznego... Zachęcon niespodziewanym „przyjęciem” w Anglii, d-Schumacher, w wypowiedziach swych... gło-sem nie proszącym, ale żądającym i pocztającym niedawnych zwycięzców swojego nrodu, domagał się rewindykacji praw n-mieckich, w sposób jakby Niemcy były zwycięzcą, lub co najmniej równym partnerem państw zwycięskich... Ostro zaatakował uchwały konferencji Poczdamskiej... Następnie żądał przekazania Niemcom pełnej władzy i ograniczenia kompetencji władz okupacyjnych”.

Po przeczytaniu tego artykułu długo mogłem zasnąć. Myślałem o Anglikach. Romarnowałem siłę roboczą, której używa dla zumowałem następująco: „Chcę mieć Niemców podtrzymaną swą reakcyjną polityką za-trusty w Grecji”. Albo: Wyzyskują swy Tej nocy wcale nie mogłem zasnąć. Strakonali roboczych, żeby odbudow cilem wiarę w wuja.

Niemcy z Wrocławiem i Szczecinem”. Al-

Chcę, „Kłatwę” Ibsena z Wrocławiem i Szczecinem, żeby dalej wyzyskiwać swych jonia-nych robotników? Wszystko to ro-niem. Władomo — synowie Albionu. Ner-we urazy — jak powała wuj. Ale gdzie tym wszystkim Polska? I dlaczego Anders-mnożony przez Churchill’a minus dziesięć, je czterdziści cztery?

Wuj mówi, że Anglia dale 44, a Rosja nie e da, bo słaba. Przeczytałem więc sobie mer „Prawdy” ze sprawozdaniem budżet-wym pierwszego roku nowej pięcioletki:

„Po stronie dochodów państwowego budżet na rok bieżący — pisał tam — figuruje w brzymia suma, przewyższająca 333 miliardów politycznym musimy zaliczyć wizytę d-ra Schumachera w Londynie. Ciekawym jest, że w wypowiedzi prasy na temat tej „nie-19 miliardów rubli. Już w bieżącym roku oficjalnej” wizyty znanego nam z antypol-skiej w wystąpieniu w sprawie naszych granic zachodnich dr. Schumachera... Liberalny w ostatnim roku przed wojną.

„Manchester Guardian” pisząc o entuzjastycznym przyjęciu Niemców, podaje: „Sam dr. Schumacher wydał się nieco zdumiony głosem, który w roku 1940. Najbardziej powiększone nym i radosnym powitaniem go przez 700 studentów, z których większość jeszcze rol-temu służyła w armii brytyjskiej”. Wizytę Schumachera, przyjmowanego radośnie przez studentów w Cambridge, fetowanego oficjalnymi obiadami, Schumachera, który prowadził wywiady z dziennikarzami, odbywał konferencje prasowe, naradzał się z ministrami angielskimi, zaniepokoiła opinia całego świata demokratycznego... Zachęcon niespodziewanym „przyjęciem” w Anglii, d-Schumacher, w wypowiedziach swych... gło-sem nie proszącym, ale żądającym i pocztającym niedawnych zwycięzców swojego nrodu, domagał się rewindykacji praw n-mieckich, w sposób jakby Niemcy były zwycięzcą, lub co najmniej równym partnerem państw zwycięskich... Ostro zaatakował uchwały konferencji Poczdamskiej... Następnie żądał przekazania Niemcom pełnej władzy i ograniczenia kompetencji władz okupacyjnych”.

„Brak rąk roboczych w Wielkiej Brytanii wywołany jest decyzją rządu utrzymania szych oddziałów wojskowych zagranicą, ustanowiono utrzymać pod bronią przez aższy okres czasu co najmniej 1.500.000 inierzy. Polityka ta nie przyczynia się do worzenia pokoju, przeciwnie uniemożliwia dbudowę gospodarczą Wielkiej Brytanii. powodu braku rąk roboczych nie możemy ksportować, ani też dostarczać ludności obr konsumpcyjnych. Rząd zwrócił się do robotników z wezwaniem o zwiększenie produkcji. Klasa pracująca ma prawo zwró-nić się do rządu, z żądaniem, aby przestał zumowałem następująco: „Chcę mieć Niemców podtrzymaną swą reakcyjną polityką za-trusty w Grecji”. Albo: Wyzyskują swy Tej nocy wcale nie mogłem zasnąć. Strakonali roboczych, żeby odbudow cilem wiarę w wuja.

Niemcy z Wrocławiem i Szczecinem”. Al-

Kandyd.

TRZASKA, EVRT i MICHALSKI
Warszawa, M rszałkowska 51

KSIAŻKI NA
GWIAZDKI

Halina Auderska — Poczworki Wielkiej Parady

Deotyta — Panienka z okienka

Wacława Patemkowska — Wielki spór w V klasie

Koty

3.600.000 dolarów

Dziennik „PM” donosi, że Stowarzyszenie Przemysłowców Amerykańskich wydało w roku bieżącym na cele propagandy 3.600.000 dolarów. Zgodnie z ogłoszonym programem Stowarzyszenie ma zamiar przekonać w przyszłym roku społeczeństwo, że pomoc akcji propagandowej, że dochody amerykańskich spółek akcyjnych nie są znów tak duże.

Napewno, skoro można wydać blisko 4 miliony na propagandę, (bs.)



Federalny klub Europy środkowej

W dzienniku „Daily Mail” zamieszczono z Rzymu korespondencję następującej treści: „Uchodzący polityczni oraz notoryczni zbiegowie, znajdujący się na listach przestępców wojennych Środkowej Europy, utworzyli międzynarodową organizację. Działalność jej obejmuje wszystkie stolice europejskie, a główna kwatera znajduje się w Rzymie. Odgaleńcza organizację sięgają aż do Stanów Zjednoczonych.

„Federalny Klub Europy Środkowej” — tak nazywa się owa organizacja — ma na celu współpracę ze wszystkimi w walce przeciwko komunizmowi. W skład Klubu wchodzi: Polacy, Łotysze, Węgrzy, Chorwaci, Serbowie, Słowacy. O istnieniu tego Klubu powiedział b. minister spraw zagranicznych republiki słowackiej, Durczansky.

Mieszka on w Rzymie bez paszportu, co nie przeszkadza jednak, że odbył szereg podróży do Francji. Głównymi współpracownikami Durczanskiego są Paweł i Maciek, przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych.”

Słowem — sama śmietanka.

op.

Cyniczne krygi

W artykule wstępnym czasopisma „Warszawa” (Nr 8) czytamy takie oto refleksje natury politycznej:

„Gdy na posiedzeniach KRN zniecierpliwionych posłów znacząco liczniejsza, spragniona widowiskowych emocji i sensacji publiczność zalewa spieniona fala taniego krasomówstwa posła W. Biełkowskiego, staczającego po raz 777my w tym samym rynsztunku te same boje z wiatrakami PSL-izmu, trzeba dorwać dy niechęć do panowania nad sobą, by po wysłuchaniu tej mowy nie stać się zwolennikiem p. Mikołajczyka.”

Słowa te pisze Jan Nepomucen Miller, poseł na KRN. Jak wiadomo, w KRN zasiadają przedstawiciele PSL, jak wiadomo, w kraju toczy się walka polityczna między stronniczymi zbiegowcami a PSL, jak wiadomo, zbiegowcy podzieleni są na dwie części: krytycy i obrońcy. Dla p. Millera to wszystko jest walka z urojonymi przeciwnikami, boiem z wiatrakami. Jeżeli, jak twierdzi p. Miller, poseł takiś gotów jest przejść ze swojego obozu do obozu przeciwnika tylko dlatego, że nie podoba mu się styl przemówienia któregoś z jego kompanów, to rzeczywiście przestają odgrywać rolę różnice poglądów i niewiadomo, co bardziej podziwiać, cynizm takiego posła, czy jego beznamiętność. P. Miller, który okazuje tak niebawala pogardę dla różnic poglądów, dla idei i myśli politycznej, niepotrzebnie stara się panować nad sobą. Droga do PSL jest otwarta, prosimy, panie Miller! Trzy czwarte tej drogi pan już uszedł, kierując się swoim „irracjonalnym” odruchami. Dalej bowiem pisze p. Miller, okazując taką samą pogardę dla ideologii literackiej, jak dla politycznej:

„Jeżeli tego rodzaju „irracjonalne” odruchy mogą powstawać na sali sejmowej wśród zgromadzonych polityków i zasada subordynacji klubowej sparaliżowanych w odruchach indywidualnych posłów, to cóż się dopiero dzieć musi na zgromadzeniu czy zjeździe z natury rzeczy zindywidualizowanych osobowości, za jakich należy poczytać ogół literatów.”

To wszystko wypisuje p. Miller na temat drugiego zjazdu literatów. P. Miller skarży się na lewicę literacką, coś jej tam imputuje, zawile, metnie, nieuchwytnie, licząc, że czytelnik jak zwykle, nie rozumie o co mu chodzi. Ale tym razem widać już wyraźnie, dokąd „irracjonalne” odruchy poniosły p. Millera. Bardzo się też oburza p. Miller na radykalnych katolików, pisząc:

„A już najbardziej żalona i bezpostaciowa grupa stworzyła krakowska grupa „radykalnych katolików”, których tereziarska scholastyka i ugodowość rozplynęła się bez żadnej reszty nierozpuszczalnej w roztworze dialektycznym p. Żółkiewskiego.”

Naturalnie — katolicy radykalni okazali się ugodowymi, bo potrafili porozumieć się z le-

wicą, zamiast pójść za znakomitym hasłem p. Millera, który pragnie, aby literatura polska rozplynęła się w „mamrocie pochyłonych ramion”. Na jakieś inne hasło mógłby się zdobyć człowiek, który tak pomija ideami, myślą i ludzkim rozsądkiem? P. Miller staje się coraz bardziej konsekwentny w swoich poglądach literackich i politycznych. Czy chcecie na przykład dowiedzieć się od p. Millera, czym się mierzy powaga i autorytet wypowiedzi publicznych poszczególnych pisarzy? Proszę:

„Niezbędnym warunkiem powagi tych wypowiedzi jest przede wszystkim autorytet moralny głoszącego te słowa człowieka. Autorytetu tego nie zdobywa się z dnia na dzień, nie zależy on wcale od uczestnictwa czy aktywności w tej czy innej partii, nie jest on nawet w prostym stosunku do wartości artystycznej dzieł danego człowieka.”

Czym się więc ów niepojęty autorytet zdobywa? Magicznymi zaklęciami, Mityka, Mamirotem. Nadajemy krygami, Ciągłotami w stronę p. Mikołajczyka.

rkm

Niewłaściwe miejsce

„Co właściwie znaczy powiedzenie takie jak np.: X jest poetą z urodzenia? Sądzę, że mniej więcej to samo, co powiedzenie: Y jest uczciwym człowiekiem, gdyż obie te wypowiedzi są niezbyt jasne wskutek użycia terminów o treści chwiejnej i bliżej nieoznaczonych” — tymi słowami p. Stefan Lichański zaczyna recenzję z książki Seweryna Pollaka po czym na przestrzeni całej recenzji dowodzi, że Pollak nie jest „poetą z urodzenia”.

Kończy zaś recenzję tak: „Ponieważ u nas stale jeszcze panuje przewaga tendencji „natchnieniowych”, „bezpośredniościowych” taka robota poetą jaką uprawia Pollak, należy uznać za celową i pożyteczną. Udowodnić, że wiersz można zrobić tak samo — jak np. szafę! Bez natchnienia i bez używania do tego t. zw. „krwi serdecznej”. To wcale nie głupi pomysły! Sugestynność wierszy Pollaka osłabia naprawdę. itd.”

Próbkę stylu p. Lichańskiego daliśmy celowo, żeby pokazać jak wygląda w Polsce praca recenzenta nieuczciwego, recenzenta, który fałszywe metody krytyczne łączy ze złośliwością.

P. Stefan Lichański pracuje w tyg. „Wieść”, czytany przez młodą wiejską inteligencję. P. Stefan Lichański uchodzi w pewnych kręgach literackich za „krytyka” i „znawcę” poezji. P. Stefan Lichański dobrze wie, że używane przez niego pojęcia z zakresu poezji i domorosłej psychologii twórczości w krytyce literackiej nie znaczą, używa ich w cudzysłowie, a mimo to używa ich, ponieważ są mu potrzebne w zabiegu, który ma w dziennikarstwie określoną nazwę, a mianowicie nazwę insynuacji. Cała recenzja z tomu wierszy Seweryna Pollaka jest insynuacją do tyżaczki psychologii twórczej poety wykorzystującą nagminnie u nas w dziedzinie krytyki literackiej (nawet na katedrach historii literatury) analfabetyzm metodologiczny. Przytoczony przez nas na wstępie okres, zawierający niedokończony równanie logiczne, jest pośrednią insynuacją, że jako „poeta nie z urodzenia” — Pollak jest czymś w rodzaju nieuczciwego człowieka. Insynuacji tej nie zacierają tolerancja Lichańskiego w zakończeniu recenzji, ale ją podkreśla, będąc obliczoną na wiadomą reakcję nie orientującego się w problematyce krytycznej czytelnika.



My w stosunku do p. Lichańskiego nie zamierzamy używać narzędzi insynuacji i posługiwać się niedomówieniami. Swojego czasu wskazywaliśmy wyraźnie, jaki mają sens teoretyczne wywody p. Lichańskiego o kulturze, którymi popisywał się na łamach „Wsi”. Jota w jotę to samo dziś czytamy w „agrarystycznych” pomysłach publicystów ze „Wsi i Państwa”, organu PSL. P. Lichański stał się oględniejszy, przerzucił się na krytykę literacką. Na podstawie całej jego przed i powojennej pracy publicystycznej musimy stwierdzić, że pod pozorami fałszywego

„obiektywizmu” zwalcza namiętnie i personalnie, z przebiegłością dobrego taktika, wszelkimi metodami, jakie są w danej chwili wygodne, wszystkich pisarzy związanych z ruchem lewicy, których w ramach wewnętrznej cenzury własnych kolegów z tyg. „Wieść” wolno mu dosięgnąć. Miejsce p. Lichańskiego nie jest jednak w tyg. „Wieść”. Jest ono w otoczeniu pp. Szczawiejów i Dzikowskich. Tylko tam, stosując podobne metody oceny literackiej, szedby nie tylko za głosem serca, ale i dyspozycji swych mocodawców.

rdc.

O odpowiedzialności za słowo w krytyce

W liście pod powyższym tytułem („Odrodzenie” Nr 49) Artur Sandauer skarży się na Jana Kotta, w którego zbiorze felietonów p. t. „Po prostu” znalazło się echo zabawnych polemik, wywołanych swojego czasu przez Artura Sandauera na temat teorii literatury. Sandauer twierdzi, że Kott go nie zrozumiał i tak oto formułuje swoje odkrycia dotyczące treści i formy utworów literackich.

„Nie w treści bowiem, lecz w formie, której nie sposób sfaszwować, dopatruje się wyrazu prądów historycznych. Treść można wybierać prawie dowolnie: od jutra np. mogę podjąć obronę starożytnego niewolnictwa lub idei Platona; sposób jednak, w jaki to będzie czynił, umieścił mnie w czasie i przestrzeni.”

Formuła Sandauera jest prosta, elementarna, „niezawijająca”. Dlaczego — u licha! — dotąd nie wpadł na nią? Ludzie się głowią, a nie umieją myśleć. Formuła ta budzi tylko drobne zastrzeżenia. Artur Sandauer jest bowiem umieszczony w czasie i przestrzeni niezależnie od tego, co postanowi od jutra pisać i od sposobu, w jaki będzie to czynił. Jeżeli jutro, któregoś dnia grudniowego 1946 r. w Polsce podejmie obronę starożytnego niewolnictwa, to bez względu na formę tej obrony, utwór jego będzie produktem zbitakania we współczesnym świecie, utopijnego szukania wzorów w niepowtarzalnej przeszłości. Jeżeli Sandauer sądzi, że forma przekona jednak krytyka o jego demokratyzmie, to trzeba go przed tymi złudzeniami ostrzec. Forma go nie zdradzi i nikt się nie dowie!

Szkoda, że Sandauer stara się udowodnić swoją tezę na utworach własnych i to na utworach jeszcze nienapisanych. Tyle jest przecież utworów napisanych już w literaturze światowej, wystarczy dla przykładu wziąć jakikolwiek. Czytałem niedawno „Spo-



wiedź dziecięcia wieku”. Zgadzałem się z Sandauerem, że treść tego utworu mogła powstać w średniowiecznej Skandynawii, a tylko forma, tak odmienna od sagi, zdradza pana Musseta, Francuza z XIX wieku.

Albo treść powieści Balzaka! Ci bankierzy, ci bogacacy się drobni przedsiębiorcy, ci zabiegający o karierę wychodzący z prowincjonalnej zubożalej szlachty, ci chłopcy sidłani przez lichwiarzy, toż to wszystko jest prawie dowolne, mógł to sobie wymyślić Cornelius Nepos, tylko że niestety nie znalazł formy powieściowej... Albo „Chata wuja Toma”. Kupiłem ją synkowi na gwiazdkę. Synek przeczytał i zawołał: „To napisał Artur Sandauer!” Ale forma, synku, forma! — odrzekłem. „Rzeczywiście — przyznał synek — forma jest stara, stuletnia. Tego nie napisał Artur Sandauer!”

Szkoda.

rkm.

Kres wędrówki

W pewnej recenzji z „Penelopy” L. H. Morstina, wystawionej w Państwowym Teatrze Polskim, znalazła się taka ocena gry artystki kreującej rolę tytułową:

„Szczytowym punktem tej kreacji jest chyba fragment 3-go aktu, w którym wszystkie nieporozumienia między złączonymi po wielu latach małżonkami kończą się sprowokowanym przez nią wybuchem najwyższej czulo-

ści, przywiązania i namiętności, gwałtownym spazmem rozkoszy w akcie miłosnym”. (l)

W tym miejscu czytelnik zaczyna się trochę niepokoić. Cóż to — u licha! — za bezceństwa prezentuje na scenie w swojej „Penelopi” stateczny L. H. Morstin?... Ale czytamy dalej, a wszystko się zaraz wyjaśnia:

„Moment ten, bardzo subtelnie przetransponowany na dialog, sprawia z kolei ogromne trudności przy próbie transpozycji scenicznej”.

A więc na szczęście — gwałtowny spazm rozkoszy w akcie miłosnym przetransponowany został przez dbającego o moralność publiczną autora na „dialog”.

Z tego wszystkiego można by jednak dojść do wniosku, że nieszczęsny Odys wrócił, po wieloletniej tułaczce, na łono spragnionej małżonki — bardzo wyczerpan.



Biedna, wierna Penelopa, której musi wystarczyć już tylko „subtelny dialog” małżeńskich...

bd.

W krainie belkotu

„Gazeta Ludowa” z 14.12.46 poświęca długą artykul analizę tego, „co ujawnił kongres techników”.

Było to ważne wydarzenie i warte analizy. Pismo dla wszystkich, poza postulatami udostępnienia drukiem referatów i poprawy sytuacji materialnej techników tak formułuje najważniejszy a według ich analizy jedyny wynik owego kongresu:



„W świecie technicznym ujawnił się początek rozdziału na grupę przemysłowo-produkcyjną i inżynierską. Obie grupy wypowiedziały się za gospodarką planową; pierwsza szuka w niej syntezy i pragnie przez nią odnaleźć człowieka, druga traktuje ją jako środek prowadzący do nadzadnego celu, jakiego nigdy nie zatraciła”. Ple... ple... ple...

zlk.

OSTRZEŻENIE

Próby nowego oświecania faktów kulturalnych, uprawiane od roku przez Zespół „Kuźnicy”, dały swoje widome rezultaty, zmieniając stosunek personelu technicznego naszego pisma do rzeczywistości. Temu tylko należy przypisać, że w nrze 50ym „Kuźnicy” fotografia Tadeusza Boya-Żeleńskiego ukazała się z podpisem: Maurycy Mochnacki, portret zaś Maurycego Mochnackiego z podpisem: Tadeusz Boy-Żeleński.

Ostrzegamy naszych Czytelników przed uleganiem podobnym sugestiom rewizjonistycznym.

Również cudzysłów przy słowie: ideologia, w podtytule recenzji J. Szczepańskiego „O socjalistycznym humanizmie” — nie jest złośliwością pod adresem ideologii ZNMS-u, lecz po prostu błędem korektorskim.

Tajemniczy poeta Dąbrowski, wymieniony w nocie p. t. „Ofenzywa pisma dla wszystkich”, jest Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim, autorem „Pióra na wicherze”, którego nazwisko korektorze „Kuźnicy” wydało się zapewne zbyt rozwlekłe.

REDAKCJA.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”.
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENY OGŁOSZEŃ:
Kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpalcie.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2. D-012261

11756-A